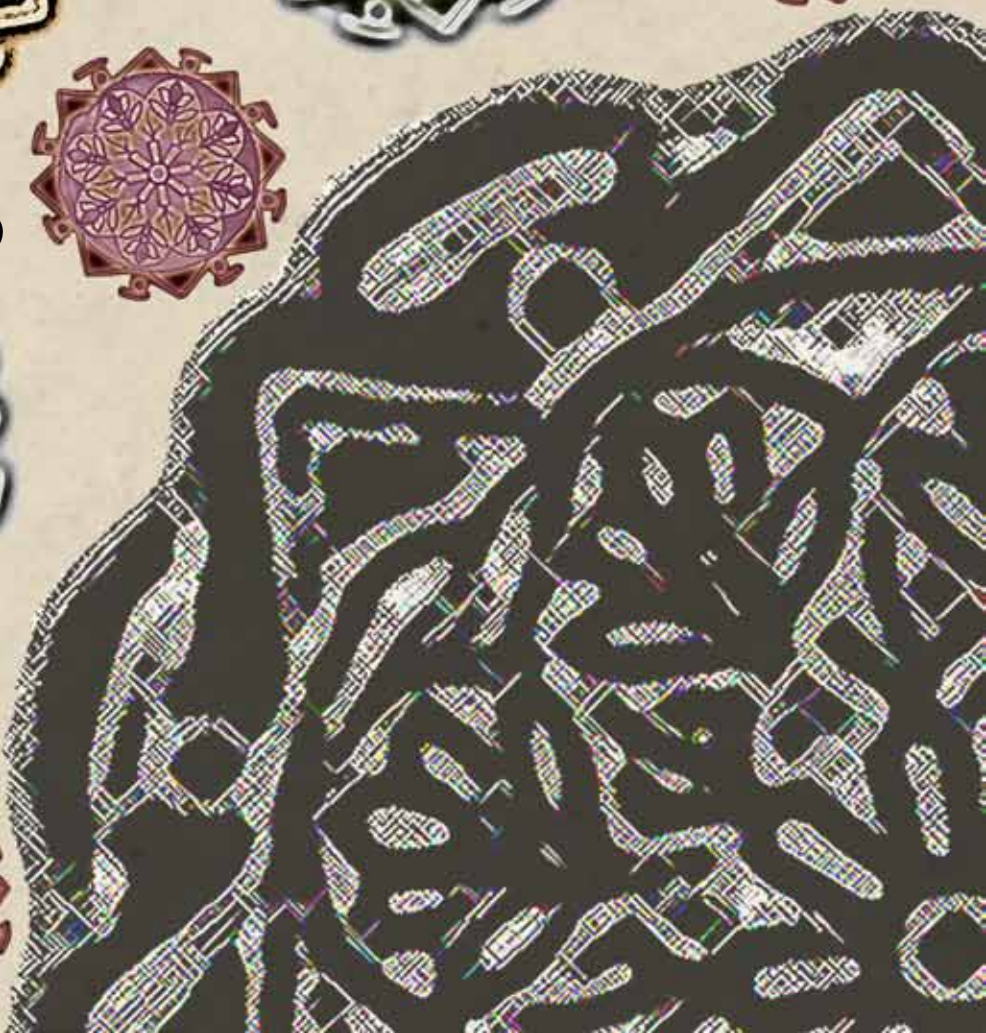


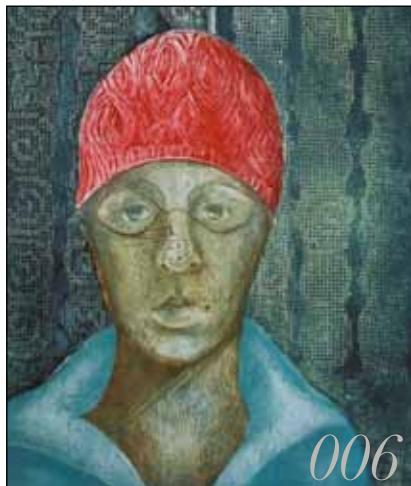
gazel owina

Nr 12(20)/2012
ISSN 2084-6932



kaLej DosKop





006

004

OD REDAKTORA

Joanna Wroczyńska

006

DROGOWSKAZY

Kierunek Art

Katarzyna Bogucka

022

BEZKRESY

Hermanowicz

Helena Hańkiewicz

030

NA PAPIERZE

Jak wielu przed nami (...)

Kasia Bartsch-Cielebon



036

036

OD CZAPY

Rodzinna tajemnica

Tamara Kuświk

040

OD CZAPY

Jak w kalejdoskopie (...)

Karolina Dyla

042

SPOSTRZEŻENIA

Nowy mężczyzna

Katarzyna Drzazgowska

046

SPOSTRZEŻENIA

O Polakach kilka słów

Łukasz Lubański



052

048

PROJEKTOR

foto Magda Budzyń

052

PIRUETY WOKÓŁ SŁOŃCA

Taniec w indyjskim kinie

Joanna Wroczyńska

056

Prowokujące wnętrza

Matylda Ślosarska

060

WIEDŹMA

powieść w odcinkach cz. XIV

Kasia Bartsch-Cielebon



065

BAJKI NOWE

Opowieść wigilijna ; Definicja
Katarzyna Bogucka

066

WYWIAD

Aptekarz też lekarz?
Joanna Wroczyńska

074

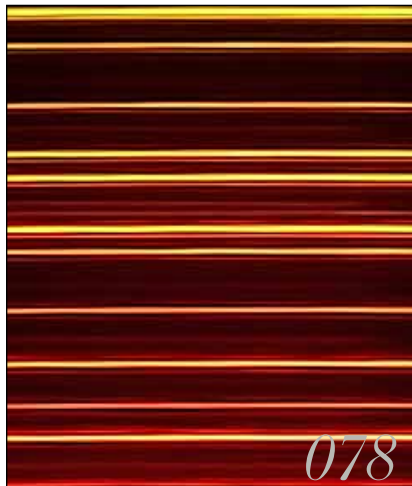
ŻAK

Kalejdoskop
Paweł Radzko

076

SZORT MAT

Barwy świata minerałów
Robert Borzęcki



078

SZORT MAT

Jak rozdzielić kolory
Aleksander Bogucki

082

PIĘKNI LUDZIE

Kolorowe święta
Adam Siemieńczyk

084

BAJKI NOWE

Ingeborga Kink-Krzyżanowska

086; 090

BABEL

Wydawca

Plstacja Media Katarzyna Bogucka
biuro@plstacjamedia.com
www.plstacjamedia.com
www.gazetownia.eu

Biuro reklamy

Tamara Kuświk
marketing@plstacjamedia.com

Zespół Redakcyjny

Katarzyna Bogucka
Joanna Dudek- Ławecka
Joanna Wroczyńska
Jolanta Wroczyńska

Foto

Katarzyna Bogucka
Waldemar Ławecki
Magda Budzyń
Bartek Trzeszkowski
Joanna Wroczyńska

Ilustracje

Aleksander Bogucki (pingwin)
Paweł Siwochowicz (wiedźma)

Opracowanie graficzne i skład

Agnieszka Maślanka

Współpraca techniczna

Agnieszka Betkier

Wydawnictwo zastrzega,
iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych
w piśmie *Gazetownia* bez zgody
Wydawcy jest zabronione na
podstawie art. 25 ust.1 pkt 1b
prawa autorskiego.

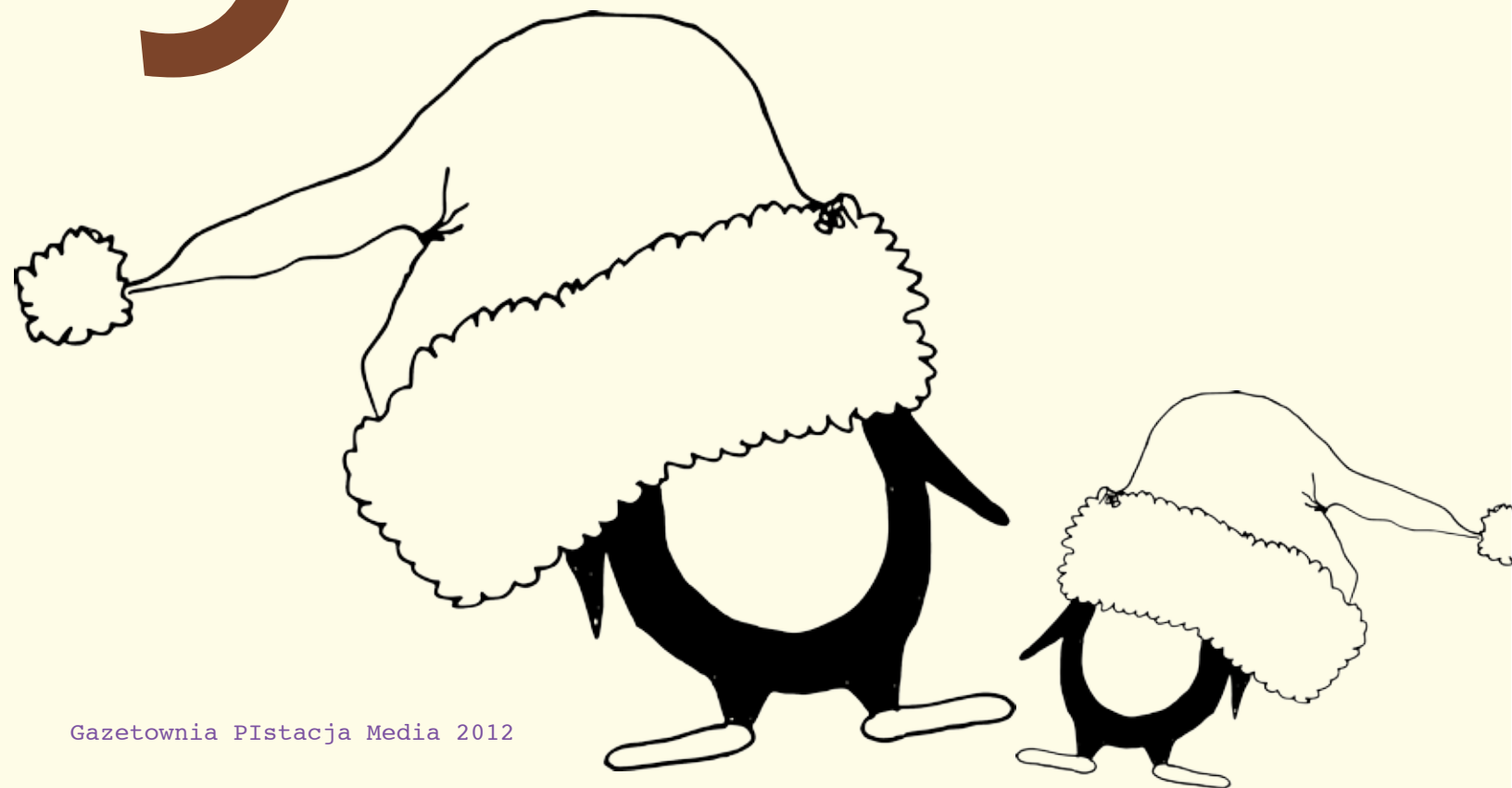
Copyright Plstacja Media 2012

Od redaktora

Jak wielu przed nami bawimy się tą prostą dziecienną zabawką, a świat wokół zmienia się jak w kalejdoskopie: każdego dnia toczy się walka o życie, pozycja mężczyzn chwieje się w posadach, przychodzi moment, w którym czujemy się staro, zmuszamy się do pozytywnego myślenia, a świat się śmieje. I wielu po nas sięgnie po kalejdoskop, bo tkwi w nim zaskakująca zmienność: wczoraj już było, mimo że podobne do dzisiaj, jutro nie wiadomo jak się ułoży. I choć zwielokrotnione odbicia porządkują okruszki szkieł, to nigdy nie układają się w takie same obrazy. Zmiana ciekawi i przyciąga, więc dalej szukamy swego szczęścia...

Zapraszamy do czytania!

JW





Twoją
myśl
przekażemy
innym...



Na Twoje
pytanie
poszukamy
odpowiedzi



KIERUNEK ART



Początek drogi

Może zabrzmieć to banalnie, ale zawsze rysowałam. Nie było takiego momentu, kiedy pomyślałam: teraz zajmę się sztuką. Odkąd pamiętam, rysowanie było dla mnie bardzo ważne i to niezależnie od wyborów związanych z edukacją. Być może brakowało mi wsparcia z zewnątrz i dlatego droga plastyczna była jakby rzeczywistością równoległą, a czasem nawet przybierała formę podziemną, ale toczyła się nieprzerwanie, bo kredki i farby miałam zawsze pod ręką.

Świadomy moment

Miałam kilka lat. Siedziałam przed telewizorem i oglądałam program kabaretowy z profesorem Sempolińskim i jego uczniami. Na stole stał wazon z bukietem goździków. Pamiętam uczucie wielkiego zadowolenia i radości. Wtedy narysowałam te goździki, starając się oddać ich wygląd. Pierwszy raz coś wzbudziło we mnie tak silną potrzebę przełożenia na papier.

Edukacja

Myślałam o szkole plastycznej, ale nie miałam wystarczająco dużo wiary w swoje możliwości, więc wybierałam to, co akceptowała rodzina. Zaczęłam studiować iberystykę. Podczas pobytu w Portugalii natknęłam się na prywatną szkołę plastyczną. Wtedy bardzo świadomie, w wieku dwudziestu lat, podjęłam decyzję o urlopie dziekańskim i rozpoczęłam naukę w szkole sztuk pięknych. Uczyłam się rysunku, projektowania graficznego i fotografii. Szkoła ta miała odmienne założenia niż szkoły artystyczne w Polsce, co miało ogromny wpływ na moją edukację plastyczną. Pamiętam, że na zajęcia rysunku przychodził po pracy w banku starszy pan z teczką, ale i osiemnastolatek świeżo po liceum. Ta różnorodność to była wielka wartość tej szkoły.

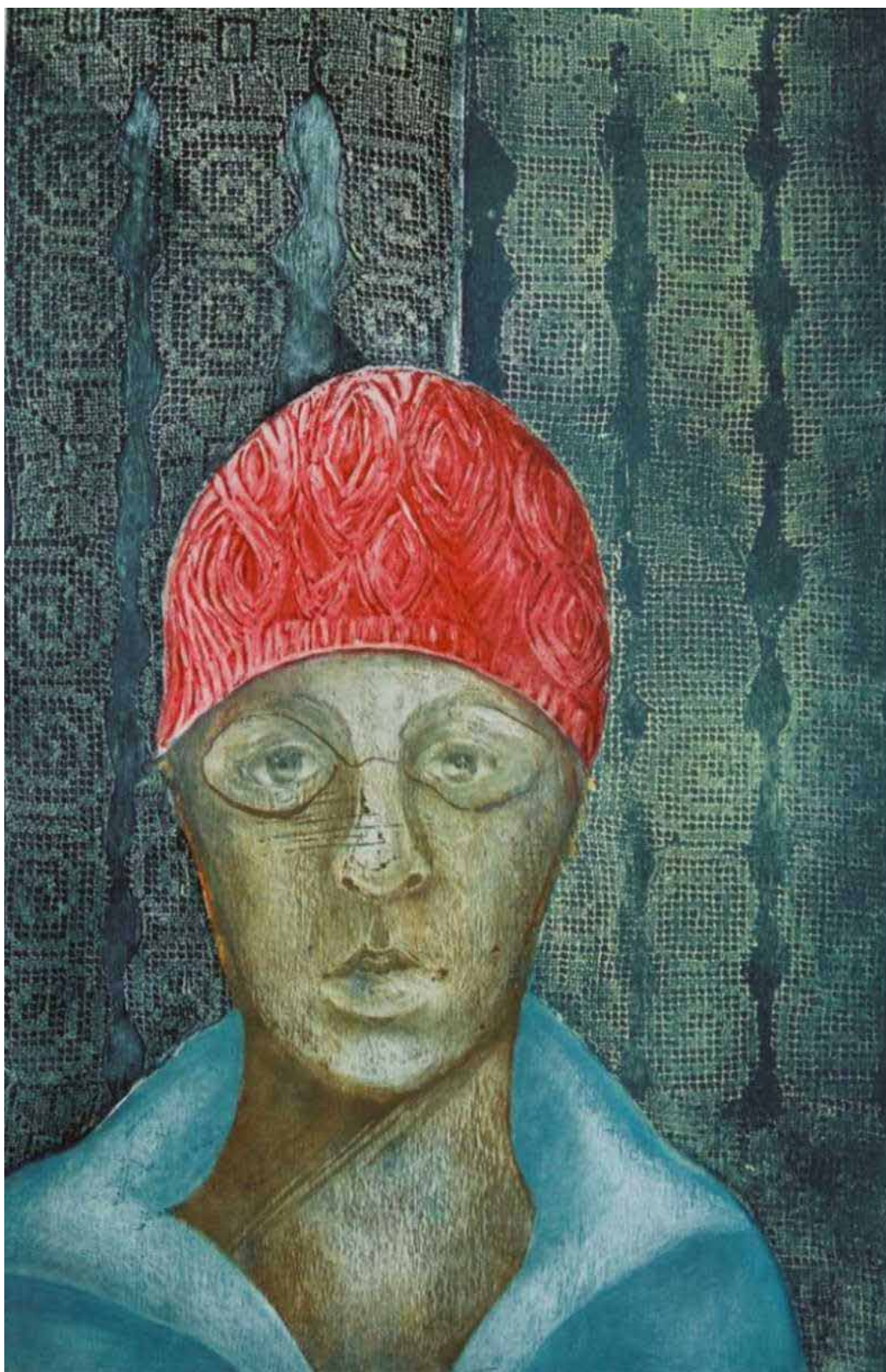
Każdy miał prawo uczyć się rysunku. Nie musiał pokazywać portfolio, zdawać egzaminów, co procentowało wspaniałą, twórczą atmosferą na zajęciach. Potem wróciłam do Polski, skończyłam studia, zajęłam się rodziną. Pracowałam jako tłumacz, pilot wycieczek i lektor języków. Mimo tych zajęć zawsze rysowałam. Przekonałam się, że im więcej robię, tym bardziej czas się rozciąga.

Moment przełomowy

Przez dziesięć lat, kiedy zajmowałam się w większym stopniu wychowaniem syna, pracą lektorską i tłumaczeniami, rysowałam w domu. W tym czasie zaczęłam myśleć o grafice. Rysunek, linearność to był mój sposób wyrazu, ale ciągle czegoś mi brakowało, jakiejś innej formy. Któregoś dnia odebrałam syna z przedszkola i poszłam na wydział grafiki spytać, czy mogą mnie przyjąć jako wolnego słuchacza. Udało się i tak przez cztery lata uczyłam się grafiki warsztatowej; rzeczy, których nie mogłabym nauczyć się sama ani wykonać w warunkach profesjonalnej pracowni. To był moment przełomowy. Poczułam, że dostałam do ręki narzędzie, którego szukałam i którego mi brakowało. Potem zaczęłam szukać miejsca na własną pracownię. Grafika wymaga odpowiedniego warsztatu, używa się różnych środków chemicznych. Udało się znaleźć pracownię. Nie zdawałam sobie sprawy, jakie to ważne. Genius loci naprawdę jest czymś szalenie ważnym, a pracownia musi mieć swoją atmosferę. Trzeba się w niej czuć komfortowo i bezpiecznie.

Determinacja

Jest to trudne i wymaga samozaparcia. Nie zrezygnowałam z zawodu lektora i tłumacza, więc mój dzień często wygląda tak, że rano idę do pracowni, wracam około pierwszej-drugiej, piję kawę i idę na zajęcia lub zasiadam do kolejnej roboty przy komputerze. Jest to wyczerpujące. Są takie chwile, kiedy marzę, żeby całkowicie poświęcić się grafice, kiedy intensywnie myślę o jakimś rozwiązaniu plastycznym, zastanawiam się jak wytrawić blachę, jak przenieść na matrycę rysunek. Gdy ma się ograniczony czas, to koncentracja i szukanie rozwiązań jest bardzo trudne.



Zofia Stanisławska
Czerwona Czapka

Pieniądze ze sztuki

Pierwszą grafikę sprzedałam przez Internet. Napisał do mnie pan, który był zainteresowany pewną pracą. Ucieszyłam się, bo akurat była dla mnie przełomowa. Nie poznałam tej osoby, ale cieszę się, że praca dla mnie tak ważna trafiła do kogoś, kogo poruszyła. Co do tworzenia i zarabiania, czuję komfort, kiedy mam dochód z tłumaczeń i nie muszę uzależniać swojej twórczości od gustów otoczenia. Obawiam się takiego uzależnienia i nie chciałabym, żeby przymus zarobku lub cudze opinie wpływały na moje grafiki.

Tłumaczenie a grafika

Im mam więcej doświadczeń w jednej i drugiej dziedzinie, tym częściej dochodzę do wniosku, że one się dopełniają. Obie rozwijają intuicję. W przekładzie, szczególnie literackim, poza wiedzą lingwistyczną i warsztatem, dla mnie bardzo ważna jest intuicja, zasada trafnych skojarzeń. Jak dobrze skojarzymy słowa, znaczenia i uchwycimy to, co ulotne, nie tylko w poezji, ale również w prozie, to nadaje tłumaczeniu wartość, szlachetność. Tak samo jest ze sztuką – uchwycenie tego „czegoś”, często nieuchwytnego, czyli trafny wybór.

Obcowanie ze sztuką

Jedni mają łatwość obcowania ze sztuką, inni nie. Jednak bez względu na stopień wrażliwości, żeby doceniać sztukę i umieć z nią obcować, trzeba ją poznać. U mnie w szkole były zajęcia plastyczne połączone z historią sztuki i to był dobry pomysł. Bardzo źle, że zrezygnowano z edukacji plastycznej. Konsekwencją tego są widoczne na każdym kroku. Osoby prowadzące galerie często całkowicie zdają się na gust klienta, ze swej strony niczego mu nie proponując w obawie, że zostanie to odrzucone. Portretów już nikt nie chce, twarz ludzka się nie sprzedaje, a pejzaże mają być proste, żeby pasowały do każdego wnętrza. A przecież nad gustem odbiorcy można pracować. Można przekonywać, uczyć. Ale do tego trzeba pasji i wiary, nie tylko myślenia o doraźnych korzyściach. Oczywiście, ja też jestem za tym, żeby obraz pasował do wnętrza, ale

musi on mieć w sobie jakąś wrażliwość, wartość. Na podstawie jednej matrycy odbitkę graficzną można zrobić w różnej kolorystyce, ale to nigdy nie może być działania przypadkowe i bezmyślne.

Kiedyś w ramach edukacji plastycznej zaprowadziłam syna do muzeum na wystawę przedstawiającą malarstwo europejskie. Były tam sale poświęcone renesansowi, barokowi, rokoko, romantyzmowi. Wszędzie tłumy zwiedzających. Natomiast ostatnia sala poświęcona sztuce od lat osiemdziesiątych XX wieku była pusta. I wtedy mój syn powiedział: ja się nie dziwię, że tu nikogo nie ma, bo tu nie ma na co patrzeć. „Nie ma na co patrzeć”, czyli nic nie porusza, nie budzi uczuć, reakcji. Sztuka abstrakcyjna jest cudowna, szczególnie w swoim pierwszym etapie jako akt negacji lub nowej interpretacji całego dziedzictwa sztuki. Jednak nawet bunt musi płynąć z dogłębnego przemyślenia i bardzo szczerzej postawy artysty. Natomiast jeśli to jest cel sam w sobie, silenie się na pusty gest, obrazoburczy gest, to wtedy, moim zdaniem, traci się kontakt z odbiorcą. Brakuje momentu poruszenia, które powinno wzbudzić dzieło sztuki. Nic dziwnego, że dziś wielu ludzi omija wystawy, galerie. Artyści trochę sobie na to zapracowali. Inna rzecz, że sztuka staje się coraz bardziej biznesem i przez to też traci się ten element magiczny „poruszenia”. Chodzi się na aukcje, żeby zainwestować, ale to nie zawsze znaczy, że kupuje się to, co się podoba.

Skandal

Do niedawna mnie to smuciło, teraz częściej przeraża. Uczę się na twórczości cenionych artystów i ich podejście jest mi bardzo bliskie. Jerzy Nowosielski, Józef Czapski, Georgia O'Keeffe, Kandinsky, Hockney – oni wszyscy podkreślają bardzo ważną rzecz: szczerłość artysty wobec siebie. Jeśli robisz to, w co wierzysz, jeśli jest to wynikiem twojej inspiracji, ale i ciężkiej pracy, ciągłych poszukiwań, to równocześnie jesteś wiarygodny dla otoczenia. Jeśli postawisz telewizor w pięknej sali i go rozbijesz, i to będzie ten akt twórczy, to jednorazowo może się okazać czymś ciekawym, ale powielany staje się sztuczny i nieszczerzy. Jerzy Nowosielski poza tym, że był erudytą, wielkim znawcą prawosławia,



Zofia Stanisławska
Chrystus



Zofia Stanisławska
Brzeg



ikony, to był wspaniałym nauczycielem. Uczył swoich studentów podstawowej rzeczy: jeżeli nie podoba ci się to, co malujesz, to tego nie rób, przestań, bo to będzie złe. To jest właśnie ta szczerość. Bez napięcia, bólu, „wewnętrznej potrzeby”, na którą powoływał się Kandinsky, nie ma dzieła. Przeraża mnie, kiedy ktoś kieruje się koniunkturą, tuszuje brak pomysłu powierzchownie rozumianym działaniem. Są galerie, które oferują pejzaże łatwe i przyjemne, ale są też takie, które odstraszały potencjalnego klienta chcącego kupić obraz. Ludzie często boją się iść do galerii, bo nie rozumieją tego, co się im oferuje. Mówi im się, że to powinno się im podobać, a tak nie jest. I zaczyna się błędne koło.

Komercja

W Polsce sztuka staje się drogą, zaczyna być traktowana jako sposób inwestowania. Na rynku aukcyjnym są sprzedawane dzieła starsze, które zazwyczaj dają gwarancję zysku, oraz dzieła twórców młodych, lansowanych i promowanych. Na pewno jest grupa inwestorów, którzy kupują świadomie, tworząc kolekcje. Zwykle jednak inwestorzy chcą, żeby sztuka przynosiła im zysk. Czasem dochodzi do paradoksalnych sytuacji. Słyszałam wypowiedź dyrektora znanego muzeum, który żalił się, że najbogatsi kolekcjonerzy, np. oligarchowie rosyjscy, decydują, co zostanie wystawione w muzeum, bo to oni mają dzieła sławnych artystów. To od nich zależy, czy je wypożyczą, czy też nie. Myślę, że coraz rzadziej spotka się prawdziwych kolekcjonerów, pasjonatów, których interesuje dany twórca albo szkoła. Podróżują po świecie, szukając jego prac, uczestniczą w aukcjach, śledzą losy dzieł. Brakuje świadomych odbiorców i miłośników sztuki. Nie wiem, czy to jest związane z szybkim tempem życia, czy jego komercjalizacją. Mało kto zadaje sobie pytanie: czym jest dla mnie sztuka, do czego jest mi potrzebna. Rynek sztuki zmierza w kierunku lansowania modnych nazwisk i sprzedawania już uznanych twórców, którzy dają pewny zysk. Kupienie pracy Warhola gwarantuje rodzinie czy instytucji bezpieczeństwo finansowe na lata. A co z dziełami sztuki? Widziałam film dokumentalny pokazujący zjawisko nazywane „klątwą Mony Lisy”. Chodzi o to, że obraz ten był tak często

pokazywany, wypożyczany i traktowany jak powielany w nieskończoność znaczek, że się „zdevaluował”, opatrzył, stracił tajemniczość i charyzmę arcydzieła. Nikt się nie zastanawia, kim była sportretowana postać, co chciał przekazać Leonardo da Vinci. Jest to sztamkowy wizerunek jak butelka Coca-Coli. Monie Lisie dorabia się wąsy, brodę, pióra. Podobny los spotkał słynne „Słoneczniki” van Gogha, na które nie możemy już patrzeć. To wielka strata. Ta masowość, łatwa i bezmyślna dostępność rzeczy wartościowych nie wpływa dobrze na sztukę.

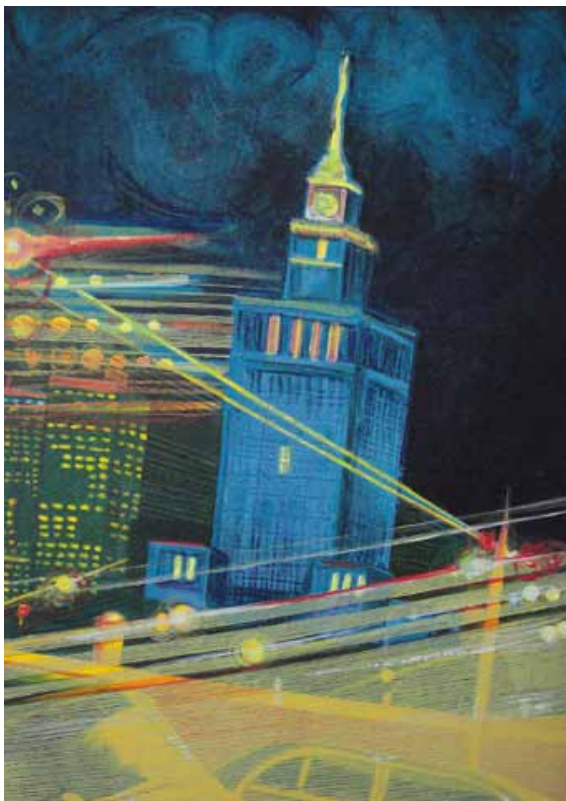
Mecenas

Zazdroszczę ludziom, którzy tworzyli w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku, bo chociaż chorowali na suchoty, często było im ciężko i z rozpaczą popijali absynt, to mieli marszandów. Marszand był miłośnikiem sztuki, a jednocześnie człowiekiem przedsiębiorczym. Wynajdywał klientów, miał wiedzę na temat sztuki, świetnie znał i obserwował twórczości jakiegoś artysty lub grupy. Byłoby wspaniale mieć kogoś takiego, a samemu zajmować się tylko tworzeniem. Z drugiej strony chodzenie do galerii, pokazywanie i sprzedawanie swoich prac uczy pokory, uświadamia, że zawsze najbardziej zainteresowani naszą twórczością jesteśmy my sami. Dlatego mimo problemów warto próbować tę twórczość wypychać na światło dzienne, pokazywać i do niej przekonywać. Dla mnie grafika to pasja, moje wielkie, osobiste „dobro”, którym mogę i chcę się podzielić. Stąd zrodził się pomysł na coroczne dni otwarte pracowni, warsztaty i wykłady o grafice. Jeśli chcę, żeby ktoś zainteresował się tym, co robię, powinnam mu to wytłumaczyć, przynajmniej w sferze czysto technicznej. Dziś mało kto potrafi rozróżnić rysunek od grafiki. A przecież to zupełnie inna dziedzina, inny świat. Grafika to długi i fascynujący proces. Kiedy patrzy się na odbitkę graficzną, widać wytłoczenia ukazujące wgłębienia z matrycy pochodzące z trawienia. Grafika – mówię tu o druku wklęsłym - ma swoją fakturę. Ale żeby to zrozumieć, trzeba poznać przynajmniej w zarysie technikę, zobaczyć, jak wygląda praca przy tworzeniu grafiki.



Szkic i grafika

Kiedyś nie lubiłam szkicować, ale teraz szkicownik zawsze mam pod ręką. Szkicowanie uruchamia cały proces twórczy, rozwija wrażliwość, uczy uważnego patrzenia. Jak pojawi się motyw, który mnie zainteresuje, to staram się go naprędce zanotować, narysować. Potem przekładam go na język grafiki. Efekt jest inny, bo przecież są inne narzędzia, sposób utrwalenia obrazu. To przetwarzanie motywu jest jednak fascynujące, chociaż długi proces robienia grafiki może spowodować, że traci się element improwizacji, spontaniczności.



Zofia Stanisławska
Pałac Kultury

Zofia Stanisławska
Pejzaż fabryczny

Jak powstaje taka grafika?

Najpierw kompozycję utrwała się, czyli trawi w specjalnym roztworze. Powstaje matryca z utrwalonym na niej rysunkiem. Po opracowaniu matrycy robi się serię odbitek, czyli nakład. Jeśli praca ma być barwna, ustala się kolory. Każda grafika ma swoją „metrykę”. Zapisuję, jak nakładałam farbę, jakie były kolory, żeby za jakiś można było zrobić identyczną odbitkę w ramach nakładu. W zasadzie to jest istota grafiki – powielanie. W moim przypadku cały proces stworzenia jednej grafiki trwa od dwóch do trzech miesięcy. Inaczej jest w technice monotypii.

O ile w przypadku druku wklęsłego z jednej matrycy z utrwalonym obrazem robi się cały nakład, czyli wiele identycznych odbitek, o tyle w monotypii powstaje tylko jedna praca. Monotypia polega na zrobieniu jednej odbitki, bez uwieczniania rysunku na matrycy. Pracuje się w sposób malarski, nakładając farbę na podłoże, np. na szkło, pleksi, blachę metalową. Ta technika pozwala na większą swobodę, improwizację.

Inspiracja

Szkicownik jest niezbędny, zmusza do patrzenia i obserwacji. Wszystko może być inspiracją. Przez pewien okres miałam nogę w gipsie i byłam unieruchomiona. Moją inspiracją stała się telewizja, a w szczególności postaci spikerów na niebieskim tle w dziennikach telewizyjnych. Uznałam, że nieśluszenie wyrzucam ze świadomości rzeczy banalne i na oko pozbawione walorów estetycznych. One stanowią przecież część mojego życia. Blokowiska, programy informacyjne w telewizji, kominy elektrociepłowni za oknem. Z tego oglądania telewizji powstała cała seria rysunków, a pracuję nad grafikami.

Dookoła siebie

Prowadzenie szkicownika nauczyło mnie bycia uważnym. Ta niezobowiązująca forma zapisu uczuć, impresji dużo uczy, również bawienia się kolorem. Kiedyś fascynowała mnie grafika w wersji czarno-białej i myślałam, że tak będzie zawsze. Ale kolor zaczął pojawiać się naturalnie i w pewnym momencie stał się niezbędny. Jak tylko mogę jeżdżę do Lizbony. Tam najłatwiej mi naładować akumulatory, odświeżyć spojrzenie, poszukać nowego, odkryć na nowo stare. Tam jest inny pejzaż niż u nas, oczywiście za sprawą światła i przestrzeni, której znaczną część stanowi morze, woda. Taka zmiana dla oka jest zbawienna. Po powrocie do domu również inaczej patrzę na rzeczy, które dotąd wydawały mi się nieważne.

Sztuka to nie jest sposób na życie, to jest sposób życia. Nie można do piętnastej być artystą, a potem już nie. To jest nieustająca praca, to ciąg działań i reakcji. Jeśli sobie nie odpuścisz, będziesz pracował

i nieustannie dziwił się tym, co cię otacza, to przyjdzie moment tej prawdziwej szczerości w tworzeniu. Wtedy ma się chwilowe wrażenie spełnienia. Trwa to krótko, ale to wielka nagroda. Ale przede wszystkim trzeba mieć siłę i wytrwałość, żeby bronić tego, co się robi, niezależnie od talentu.

Bliżej nieba

Jeśli ktoś przyjdzie do galerii i ot tak rzuca, że to sam sobie może namalować, to znaczy, że nie szanuje czyjejś pracy, nie zdaje sobie sprawy, czym jest proces twórczy. Sądzę, że im trudniej nam coś przychodzi, tym bardziej to doceniamy, a jak jest zbyt łatwo, to gubi się coś istotnego. Szybki efekt skraca drogę, a tylko w drodze rodzą się rzeczy wartościowe. Jeśli się idzie, upada, podnosi, idzie dalej, kształtuje się swoją duchowość. Inną rzeczą, która sprzyja rozwijaniu duchowości, jest wiara i fantazja, czyli odwaga bycia nieracjonalnym. Ostatnio usłyszałam taką informację, że w średniowieczu ludzie jedli dużo drobiu, ponieważ wierzyli, że dzięki temu będą bliżej nieba, a unikali mięsa wołowego i cielęcego, ponieważ te zwierzęta chodziły po ziemi. W tym myśleniu była jakaś magia i rodzaj duchowości, której nam dziś brakuje. Żyjemy w świecie, gdzie nie ma miejsca na takie fantazje. To jedzenie drobiu z powodu chęci znalezienia się bliżej nieba wydaje mi się wzruszające. Tego sposobu przeżywania świata nam brakuje i może dlatego nie odczuwamy też potrzeby obcowania ze sztuką. W końcu wzruszenie dziełem sztuki jest tak niewymierne i niepojęte jak wiara, że jedzenie ptactwa nas zbliży do nieba.

Tradycja

Na pewno ważną rzeczą w wyborze drogi była dla mnie tradycja rodzinna. Siostra mojego dziadka Zofia Stanisławska - Howurkowa była grafikiem, ilustratorem, a jej prace, legenda i pamięć były w domu obecne. Mój wujek jest scenografem. To był świat, który mogłam zobaczyć, dotknąć, dużo o nim usłyszeć. Na pewno kształtowało to moją dziecięcą wyobraźnię. Do tego doszła moja własna, organiczna potrzeba rysowania.

Jako nastolatka miałam różne fascynacje, zachwyciałam się Młodą Polską i wszystkim co z nią związane – Wyspiańskim, Mehofferem, potem Wojtkiewiczem. Często jeździłam do Krakowa i oglądałam secesyjne kamienice, polichromie w kościołach, witraże. Ale te fascynacje ciągle się zmieniały. W ostatnich latach szukam inspiracji nie tyle w dziełach, co w postawach twórców. Droga poszukiwań artysty może być równie inspirująca co jego obrazy. Tak było z Czapskim, Nowosielskim, O’Keeffe.

Energia

Nie jest dla mnie ważne, kiedy obraz powstał, ale co się dzieje, gdy na niego patrzę. Działa albo nie. Sztukę odbieram intuicyjnie. Często zastanawiałam się nad emocjami w sztuce. Myślę, że powinna wyzwalać dobre, a nie destrukcyjne uczucia. Jeżeli zakładam, że ma być szczerą i odzwierciedlać moje przeżycia, to nawet jeśli impulsem był ból, cierpienie czy brzydota to ostatecznie to, co stworzę, będzie mnie prowadzić w kierunku dobra. Taki jest odruch i potrzeba większości ludzi, zanim włączy się intelekt. Jeśli w pierwszej chwili coś mnie odrzuca, budzi niechęć, strach, dyskomfort, a przede wszystkim jakieś głębokie poczucie dysharmonii, to dla mnie traci walor sztuki. Prawdziwe dzieło może ukazać brzydotę, nędzę, upadek, ale jest to przetworzone przez język sztuki, nie zatracając nic ze swej prawdy. Dla mnie malarstwo Bacona jest piękne, bo wyzwala uczucia, przemawia swoim językiem. To jest ta energia, którą wyzwala sztuka, a zarazem tajemnica.

Moje widoki przez okno

Są trzy widoki, które dobrze pamiętam i są dla mnie ważne. Pierwszy to widok z okna rodzinnego domu na ulicę z gazowymi latarniami. Drugi to obraz z okna domu, w którym mieszkam dzisiaj, na pasiaste kominy elektrociepłowni Siekierki. Trzeci to widok z mojej pracowni na budynek Akademii Medycznej na Ochocie. Teraz rozumiem, dlaczego artyści niestrudzenie malowali widoki z pracowni, np. Wyspiański swoje kopce Kościuszki. Ja mam to szczęście, że okna z mojej pracowni wychodzą na teren, gdzie się dużo buduje i ten widok ciągle się zmienia. Pozostały

we mnie także obrazy z dzieciństwa spędzonego w Afryce. Są głęboko zapisane w mojej podświadomości i pewnie do końca nie zdaję sobie sprawy, jak mocno działają. Przede wszystkim są to kolory, światło, bujna roślinność, bardzo kolorowy świat widziany z poziomu oczu dziecka.

Kalejdoskop

Bawiłam się nim jako dziecko. Fascynowało mnie, że wszystko jest możliwe. Nie ma układu trwałego, a każdy następny jest ciekawszy od poprzedniego. Najpierw bałam się nim poruszyć, żeby nie zburzyć pięknego obrazu. Potem okazało się, że ruch ręki daje nową, niesamowitą kompozycję. Dla mnie kalejdoskop to zmienność, której nie należy się bać, ciekawość prowadząca do odkryć. Ten strach przed nieznanym i ruchem, który może zniszczyć, to co jest, wydaje mi się kluczową sprawą w życiu. To jest odwaga w przełamywaniu własnego strachu, wątpliwości. Zabawa kalejdoskopem kojarzy mi się też z pracą twórczą, kiedy odwaga i ciekawość, potrzeba ciągłego kwestionowania tego, co się osiągnęło, jest podstawą rozwoju. Myślę, że te cechy potrzebne są też w odbiorze czyjejś twórczości. Nie bójmy się sztuki i starajmy się traktować dzieło jak nowy, zaskakujący układ w kalejdoskopie. Efekt często będzie podobny – zaskoczenie, „poruszenie”, radość. Nie unikajmy miejsc, gdzie możemy mieć takie doznania. Obcowanie ze sztuką też uczy odwagi i zmusza do konfrontowania się z nowym. Sztuka może pomóc, uruchamiając w nas dobre przeżycia, wzruszenia, być impulsem do odkrycia czegoś nowego również w sobie, do zmiany jak w kolorowym kalejdoskopie.



Zofia Stanisławska - grafik i tłumacz. Studiowała rysunek, fotografię i projektowanie graficzne w lizbońskiej wyższej szkole plastycznej AR.CO (Centro de Arte e Comunicação Visual) oraz na wydziale grafiki warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Odbyla staż graficzny w Lizbonie, w stowarzyszeniu Grafików Portugalskich GRAVURA. Od 2002 roku prowadzi autorską pracownię grafiki artystycznej Plum-tree.

HERMANOWICZ



helenahaskiewicz







fot. Waldemar Ławdecki

Krzemieniec, rodzinne miasto wielkiego wieszczu Juliusza Słowackiego od dawna przyciągał do siebie artystów. Zwłaszcza w okresie międzywojennym niepowtarzalna malowniczość położenia, urocze krajobrazy, liczne zabytki, intelektualna atmosfera Aten Wołyńskich uczyniła, iż Krzemieniec stał się niezwykle popularnym wśród malarzy i fotografików. Uroki

naszego miasta w obiektywie utrwalali Stanisław Schejbal i Ludwik Gronowski. Osobliwy styl fotografii artystycznej, wylansowany w pracowni fotograficznej Liceum powstał z udziałem wybitnego artysty-fotografika Henryka Hermanowicza. Uczeń profesora Jana Bułhaka, Hermanowicz w 1937 r. przeniósł się z Wilna do Krzemieńca, by podjąć pracę w Liceum pod kierownictwem Stanisława Shejbala. Urzekające piękno małego miasteczka zagubionego wśród gór i lasów, oczarowało go i na zawsze zostało jego pierwszą miłością, romantyczną i niepowtarzalną. Choć miał już za sobą pierwsze sukcesy (I nagroda poznańskich „Wiadomości Artystycznych” w 1933 r., publikacje w Paryżu i pozytywne oceny w prasie paryskiej), Henryk Hermanowicz w Krzemieńcu ukształtował się jako samodzielny artysta. Tutaj też poznał swoją przyszłą żonę Emilię Kornaszewską. Jej portret z 1937 r., odznaczony srebrnym medalem na Pierwszej Polskiej Wystawie Fotografii ojczystej w Warszawie niezmiennie wywołuje słowa zachwyty.

Najbardziej płodnymi byli lata 1937-1939. Artysta namiętnie utrwał pejzaże, architekturę, twarze, niby przeczuwając, że niedługo wszystko pójdzie w niepamięć. Często wędrował z aparatem po okolicach Krzemieńca i malowniczych zakątkach Wołynia, dzięki czemu udało się „ocalić od zapomnienia” unikalną drewnianą architekturę Krzemieńca, malownicze ruiny zamku w Buczaczu, barwne ludowe stroje.

W 1939 r. w ramach przygotowań do uroczystych obchodów 130. rocznicy urodzin Słowackiego wydał własnym sumptem album „Piękne rodzinne miasto Juliusza Słowackiego” z wyborem listów

i wierszy dokonanych przez Emilię Kornaszewską. Wertując pożółkłe kartki tego bibliofilskiego rarytasu jakże bliższym i zrozumiałym staje się świat młodego Juliusza. Tajemnicza Góra Królowej Bony, dźwigająca wysoko nad miastem majestatyczne czoło, śnieżnobiałe gmachy Liceum, kręte uliczki starego miasta z piętrzącymi się drewnianymi domkami z mnóstwem słupków, ganeczków, galeryjek – prawdziwe obrazki z XIX wieku. W tym czasie wspólnie ze Stanisławem Shejbalem przygotowuje też o Krzemieńcu albumik „Miasto wielkiej tęsknoty”.

Wielu początkujących malarzy zwracało się do pana Henryka po poradę. Zawsze jej udzielał. W bardzo życzliwy sposób potrafił podpowiedzieć, wesprzeć, a czasem zupełnie już beznadziejnego „artystę” wyleczyć od „malarii”, doradzając by się zajął mniej twórczą, ale bardziej dla niego i społeczeństwa pożyteczną pracą, a zarobione pieniądze zamiast na farby i pędzle „na nowe portki wydał”. W czasach zawieruchy wojennej do 1943 r. artysta kontynuował pracę w atelier fotograficznym, dokumentując zbrodnie hitlerowców. Negatywy schował pod podłogą pracowni i na dzwonnicy soboru. Niestety, większość ich zginęła. Część znajduje się w Krzemieńcu w prywatnych zbiorach. Z tego okresu znane jest zdjęcie przedstawiające pożar getta datowany 2-3 września 1942 r.

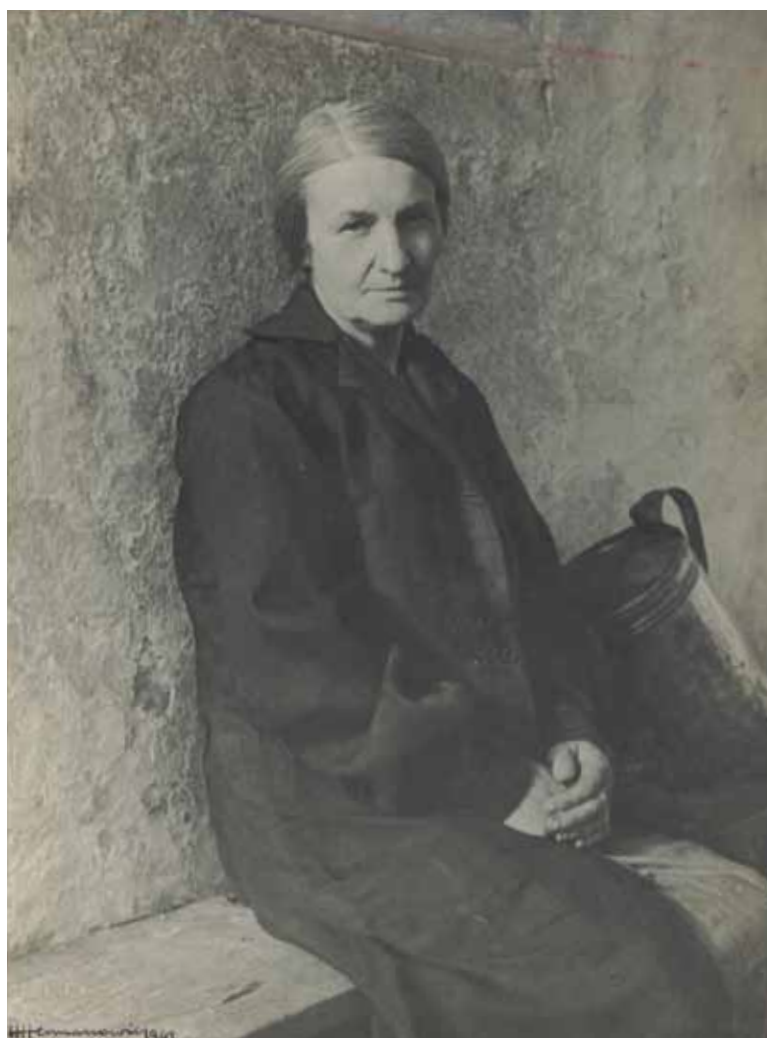
W 1943 r., gdy przebywanie Polaków na tych terenach stało się zdecydowanie niebezpieczne, państwo Hermanowiczowie po długiej tułaczce osiedli w Krakowie. Krzemieniec „piękne rodzinne miasto” stał się dla artysty „miastem wielkiej tęsknoty”.

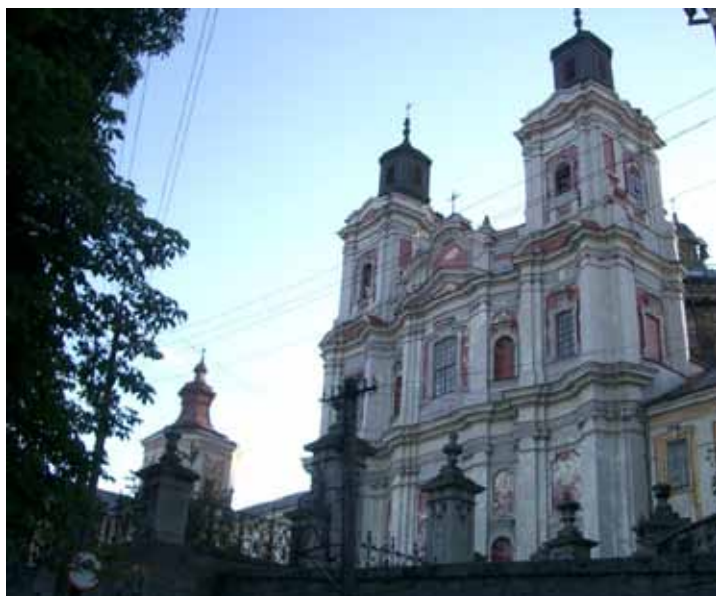
W rzeczywistości nie opuszczał Krzemieńca nigdy, przecież zostały tu liczne jego dzieła, które ukształtowały gust niejednego Krzemieńczanina, przynębionego otaczającą socrealistyczną rzeczywistością. Niezapomniane wrażenia prace Hermanowicza wywarły m.in. na przyszłej opiekunce pamiątek po Słowackim. Małgorzata Giecowicz w zniszczonym i osieroconym po zamknięciu Liceum mieście, w nędznej „komunalce” jako mała dziewczynka znajdowała pociechę i radość, wpatrując się w piękne fotografie. Otwierał się przed nią czarowny świat harmonii i poezji, dający niezwykle głębokie przeżycie estetyczne. Świat ten przesłaniał szarą rzeczywistość, pomagał przetrwać i w jakimś sensie zadecydował o jej dalszym losie. Małgorzata Giecowicz w ciągu prawie 30 lat była kustoszem działu J. Słowackiego w Muzeum Krajoznawczym w Krzemieńcu, tłumaczyła na ukraiński listy poety do matki oraz kilka jego wierszy, a pasja fotografowania pozostała jej do dziś.

Zmienił się świat powojenny, przeistoczył się także styl artysty-fotografika. Jego prace stały się bardziej dynamiczne, ekspresyjne, syntetyczne, chociaż nie pozbawione romantyzmu. Całą swą miłość przelał na Kraków, dowodem czego

stał się „narysowany sercem i soczewką”, sześciokrotnie wydawany album „Kraków – cztery pory roku”. Wybitnym przykładem fotografii krajoobrazowej są ilustracje do wierszy Władysława Broniewskiego w książce „Nad Mazowsza równiną otwartą”. O niej to Jarosław Iwaszkiewicz powiedział, że „właściwie przechodzi granicę tego, co nazywamy poezją czy malarstwem. Fotografia Hermanowicza jest przecie wielkim malarstwem”.

Powojenny okres twórczości Hermanowicza był bardzo płodny: praca w Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi; współpraca z czasopismami „Przekrój”, „Stolica”, „Turysta”, zagraniczne podróże, udział w licznych wystawach. W szwajcarskiej encyklopedii, wydanej na 150-lecie jego fotografii wiele miejsca poświęcono jego twórczości. Został uhonorowany wieloma odznaczeniami i nagrodami, m.in. Złotą Odznaką PTTK, tytułem Honorowego Fotografą Krajoznawcy Polski, medalem ZPAF, tytułem Excellence FIAP Międzynarodowej Organizacji Fotograficznej. Wydał wiele albumów: m.in. „W krainie skał i zamków”, „Dolina Prądnika”, „Horribile sensu”, „Nad jeziorami polskich Tatr”, „W dorzeczu Nidy”, „Wieliczka”, „Znowu idę na południe” oraz „Dolinki Podkrakowskie i Tatry”, który stał się ostatnim jego albumem. Nigdy jednak nie zrywał z Krzemieńcem. Węzi uczuciowe, łączące artystę z tym małym wołyńskim miasteczkiem przetrwały do końca jego płodnego żywota. Tu spędził najszczęśliwsze lata swojej młodości, zrealizował wiele swoich twórczych planów, tu na cmentarzu katolickim położonym na stoku malowniczej







góry Wołowicy zostały groby dwojga jego dzieci-bliźnięt. Dlatego często do Krzemieńca powracał. Oczyma wyobraźni, a kiedy stało się to możliwe, kilkakrotnie odwiedzał „miasto wielkiej tęsknoty”. Wtedy spotkała mnie radość poznania go osobiście, ponieważ jeszcze w latach przedwojennych przyjaźnił się z rodziną mego ojca. Niewiele mogło zapamiętać sześciolatnie dziecko z krótkich odwiedzin, ale wykonane przez niego fotografie, rozwieszone na ścianach naszego mieszkania przemawiały do mojej wyobraźni.

Portret babci, wykonany w 1943 r., w czasie kiedy ojciec był w niemieckiej niewoli. Kobieta w ciemnym płaszczu na ławce w tle nie otynkowanej ściany, obok – pusta dojnica. Gładko uczesane siwiejące włosy, strudzone ręce. Cała postać majestatyczna w swej prostocie i zatajonym bólu. Przenikliwe spojrzenie wyraża pewność, którą dać może tylko wiara. Jakże różni się ten portret od innego, zrobionego 20 lat wcześniej, na którym szczęśliwie się uśmiecha dziewczyna w słomianym kapelusiku z bukietem fiołków. A obok – całkiem inny motyw – kościół licealny o świcie. Nowy dzień rodzi się na krzyżach kościoła. Mgliste nieśmiałe światło wczesnego poranka koncentruje się na wieżach, powoli zwalcza nocny mrok, co czai się jeszcze w dole, tajemniczo okrywając fragment wirydażu. Chwila pełna ciszy, powagi i dziwnie pociągającego spokoju.

„Hermanowicz czyli prostota” – powiedziano o jego twórczości w warszawskiej prasie. Prostota w znaczeniu doskonałość. Zdjęcia Hermanowicza są piękniejsze od rzeczywistości. Nie upiększa jej, bynajmniej. Po prostu zawsze udawało się mu uchwycić fragment, który najtrafniej świadczy o całości. Uważa się, że każde dzieło prawdziwego twórcy jest w pewnym sensie jego autoportretem, bo odsłania jego duszę, świadczy o jego poglądach, przekonaniach. Twórczość Hermanowicza wprowadza nas do świata wielkiej harmonii, majestatycznej jasności i tej nieprostej prostoty, co odzwierciedla wspaniałą duszę tego prawdziwego artysty.

W 1991 r. Henryk Hermanowicz wydał „album prywatny” w trzech egzemplarzach pt. „Krzemieniec 1937-1943”, a rok później zmarł. W tym roku przypada setna rocznica urodzin artysty.

Helena Hańkiewicz

pracownik naukowy Muzeum Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu.



Jak wielu przed nami i wielu po nas

Kasia Bartsch-Cielebon

Hotel pogrąża się w nocnej ciszy. Ostatnie głosy na korytarzu. Zamykanie drzwi. Goście pilnują porządku. Właścicielka hotelu, Pani Maria, przerzuca kolejną stronę hotelowej księgi gości.

Pokój nr 34. Państwo T. jadą na południe. W góry. Chcą odpocząć. Ostatnie miesiące były jedną wielką huśtawką nadziei i rozpaczy. Tyle lat starali się o dziecko. Tyle lat. Leczenia. Badania. Próby. Tyle lat. I nic. Nie udawało się. Decyzja o adopcji z Domu Dziecka pojawiła się kilka miesięcy temu. Nie stawiali specjalnych wymagań. „Po prostu, chcemy mieć dziecko. Chłopca albo dziewczynkę. Oboje pracujemy. Stać nas na utrzymanie dziecka. A poza tym... Bez dziecka tak jakoś nam pusto”. Nie wierzyli własnym uszom, kiedy ze słuchawki telefonicznej

usłyszeli, że Bartek na nich czeka. Nie wierzyli. Wszystkie dokumenty wypisali, podpisali i złożyli zaledwie trzy tygodnie wcześniej. Jak to możliwe? Słyszeli o długich procedurach. Sprawdzaniu kandydatów na rodziców. Tłumaczyli sobie, że to może praca przyszłego ojca tak przyspieszyła cały proces. Tryskali radością i szczęściem. Trzyletni Bartuś wyekspediowany z placówki zamieszkał w ich domu. Żeby tylko był szczęśliwy. Tyle przeszedł. Malutki. Przepiękne dłonie i długie rzęsy. Problemy pojawiły się już następnego dnia. Chłopczyk nie reagował na nic. Nie wykonywał najprostszych poleceń. Wypowiadanych z czułością i troską. Z nadzwyczajnym przejęciem „czy aby wszystko robimy dobrze?” Z dnia na dzień było coraz gorzej. Dodatkowo okazało się, że pod wpływem wody coś dzieje się

z jego skórą. Ona pobiegła do placówki macierzystej. „Coś jest nie tak. Czy państwo wszystko nam powiedzieli o Bartku?” Kierowniczka popatrzyła w okno – „Bartek ma atopowe zapalenie skóry i FAS.” „Co to jest u licha?”. Dostali książeczkę do poczytania. Włosy stanęły im dęba. Kolejne tygodnie prób i dobrej woli. Nie dali rady. Bartek wracając do placówki nawet się nie obejrzał. Została gorycz w sercu i wspomnienie długich, ciemnych rzęs. Aktualnie szukają pocieszenia w filozofii Zen.

Pokój nr 37. Państwo N. Ona i on. Ona w ciąży. Swojej piątej. Jadą na zachód. Wszystko tak się skomplikowało. Na wsi mówią o nich „dziady dzieci narobiły”. No, a nie dziady? Ona na zasiłku, a on tylko umowy „śmieciowe” łapie. Chociaż dobre i to. Ale ciężko gromadę ubrać i wykarmić. A inna pomoc?

„Dziady dzieci...”. Podróż mają sponsorowaną. Przez bogatych państwa z zachodu. Oni odkupią od nich to dziecko. Całą transakcję naraił kolega. „No, co wam. Macie przecież już czwórkę. Jeszcze nie widać brzucha. Pojedziecie sobie. Niby do pracy. No! Wreszcie się odkujecie. To was ustawi. A oni to dobrzy ludzie. Znam ich. Ptasiego mleka nie zabraknie waszemu dziecku. Zobaczycie.” I jadą. Kiedy nie widzi to drugie, płaczą. Ona zamyka się w łazience i zaciska zęby na ręczniku, aby on nie słyszał. On na powrót zaczął palić. Ma pretekst, aby wyjść z pokoju. Kiedy ze sobą rozmawiają: „Tak, tak, musimy to zrobić. To nasza przyszłość. Nasza nadzieja. To da szansę pozostałym dzieciom. Już ludzie nie będą nas obmawiać”. Kolega kontroluje ich, co jakiś czas. Pan N. ma ochotę powiedzieć mu, żeby się...



Pokój nr 38. Pani C. i pani W. Babcia z wnuczką. Te znowu jadą na wschód. Tam, gdzie babcine korzenie. Pani C. właśnie skończyła 82 lata. I ma dosyć. Rodzina mówi, że przecież to nie tak dużo, że ludzie żyją jeszcze dłużej. Ale ona uważa, że to już stanowczo za długo. Za długo jak na nią. Przeżyła śmierć swoich dzieci. Zostały jej wnuczki. Dorosłe już. Najmłodsza zdecydowała się zawieźć ją do jej rodzinnej wioski. Pani C. wierzy, że kiedy tam wróci przypomni sobie, dlaczego jej nie było w domu tamtej nocy. Miała wtedy 14 lat. Widziała wszystko z leśnych zarośli. Pogryzła sobie palce do krwi, żeby nie krzyczeć. Żeby jej nikt nie usłyszał. Widziała swoją młodszą siostrę przybitą widłami do ściany. Ojca ciętego piłą. On pewnie wyszedł, aby zaprotestować, może bronić swojego domu.

A siostra wybiegła za nim. To przecież jej ukochany tatuś. Najpierw zginęła ona. Widział to. Mama pewnie przez stodołę próbowała uciec na pola z najmłodszym synkiem. Pani C., wtedy jeszcze młoda dziewczyna, słyszała jego płacz i krzyki matki. Pewnie złapali ich. Zaklinania. Prośby. Strzał i wycie. Kolejny strzał. A przecież ich znali. Znali tych ludzi. Pomagali sobie wcześniej. Wspierali. To byli przecież ... To już nie mogli być ludzie. Pani C. wie, że tych ludzi już nie ma. Już może i miejsca nie znajdzie. Ale może sobie wtedy przypomni... Może wtedy sobie przypomni. Może wtedy nareszcie umrze. Bo ile można żyć?

Pokój nr 41. Pan S. na północ. Nad morze. Dalej już nigdy nie pojedzie. To chyba jego ostatnia podróż. Taka krótka, szybka, spontaniczna. Aby na chwilę

zapomnieć. I wykorzystać tę resztkę sił. Ma 25 lat. Tylko 25 lat. Ale jak powiedzieć, że ćwierć wieku, to już zupełnie inna perspektywa. Jest coraz słabszy. Proste czynności zaczynają mu się wydawać zdobywaniem Everestu. Ogolić się. Boże, jakie to trudne. Utrzymać rękę tak długo w górze. Ale teraz wyrwał się sam. Wie, że to szaleństwo. Może. Pewnie ostatnie. Jak mu się uda, przeżyje jeszcze rok. W męczarniach. Z morfiną i kompletnym odlotem na końcu. O ile i to nie będzie za słabe. Tak, operacja się udała. Właściwie. Wszystko usunięte, ale drań złośliwy był. O przepraszam, jest. Jeszcze jest. Bo cały czas siedzi w nim i rośnie. Tylko w innym miejscu. Chemia nie pomaga. Próbowali chyba wszystkiego. Wszystkiego. Zamawiaczy. Bioenergoterapeutów. Znanych i nieznanych kuracji. Ta z jodyną

była obrzydliwa. Powiedział wtedy nawet, że chyba już woli umrzeć, niż pić to świństwo. Teraz już nie wie. Chwilowo ma dość. Jest zmęczony. I dlatego to morze.

Pokój nr 43 . Państwo E. Pokój nr 44. Pan F. Pokój nr 46 Pani J. i pan B.

Tylu ludzi. Tyle historii. Tyle cierpienia. A przecież...? Gdyby...? Może...? A jednak. Pani Maria gładzi palcami stronę. Uśmiecha się z miękką czułością.

– Wyśpijcie się dzieci dobrze. Jutro... – kolejny lekki uśmiech – jutro, zaczynamy rekolekcje – gasi włącznik światła. W hotelowym holu zostają tylko dwie świetlne plamy. Lampka na kontuarze. I podświetlony na „potykaczu” plakat „ZROZUMIEĆ”.

KBC





RODZINNA TAJEMNICA

– część druga powstała na
życzenie Czytelników

Tamara Kuświk



Za oknem padał śnieg, malutkie płatki wirowały zdobione słonecznymi promieniami. Z kubkiem w dłoni patrzyłam w okno, próbując przypomnieć sobie rozmowę z wujkiem Ignacym.

– Dziwne – pomyślałam. – Dlaczego nie chciał powiedzieć co spotkało mojego pradiada?

Wzięłam długopis do ręki i zakreśliłam prowizoryczne drzewo. Pradiad Józef, prababcia Felicja. Mieli trzech synów. Jednym z nich, najstarszym był mój dziadek również Józef. Ożenił się z babcią, która miała dwie siostry. Po ślubie urodziło im się troje dzieci: mój tata, ciocia Krysia i wujek Paweł. Rozmawiałam z ciocią Krysią i bratem dziadka, wujkiem Ignacym. Pora odwiedzić mojego najstarszego kuzyna. Jest z wykształcenia historykiem. Może zagłębiał się w rodzinną przeszłość. Chciałam dowiedzieć się dlaczego mojego pradiada zabrała armia, co takiego zrobił i czemu pobitego wypuścili do domu po latach.

*

– Wejdz, proszę – uściśkała mnie żona kuzyna, Agnieszka – Tak mnie zaskoczyłaś dzwoniąc do nas, że nie mogę spać tak się denerwuję, że masz jakieś złe wieści.
– Naprawdę nic się nie stało
– próbowałam ją uspokoić. Agnieszka znana była w rodzinie ze swojego histerycznego charakteru. Wyolbrzymiała zdarzenia i lubiła plotkować.
Mieszkali w trzypokojowym mieszkaniu w centrum miasta. Rozejrzałam się dyskretnie. Wnętrze było bardzo czyste, przestronne, dość skromnie urządzone. Kuzyn Jarosław pracował na Uniwersytecie, a jego żona zajmowała się domem i dwójką dzieci.
Opowiedziałam Jarkowi o niespodziewanym e-mailu, moich rodzinnych wizytach i poszukiwaniach. Patrzył na mnie w skupieniu. Wysłuchał nie przerywając i poprosił żonę o przyniesienie albumu, który znaleźli w mieszkaniu swojego dziadka.
– Spójrz – pokazał jedno ze zdjęć. – To są nasi pradziadowie. Prawdę powiedział wujek Ignacy. Jesteś bardzo podobna do prababki Felicji – uśmiechnął się dyskretnie. Mój dziadek często opowiadał o swoich rodzicach. Najchętniej do czasów „zaginięcia” swojego ojca. Mówił, jaki pradiad był pracowity, jak dbał o parobków. Uczył swoich trzech synów pracy na roli i zarządzania majątkiem. Był troskliwy, kochał ich bardzo, ale był też wymagającym ojcem. Z racji skrzywienia

zawodowego pogrzebałem troszkę w przeszłości. Niestety, nie mam dowodów, ale rodzina domniema, że pradiad pochodził ze wschodu. Biegle mówił po polsku, ale równie biegle po rosyjsku. Zapewniał wszystkich, że jest Polakiem, ale pewne poszlaki prowadzą do Rosji.
Spojrzałam na fotografię. Podobna do tej, którą pokazał mi wujek Ignacy. Przodkowie stali sztywni i nienaturalni. Nagle ujrzałam mały przedmiot leżący na komodzie. Mała ozdobna książeczka. Wyglądała jak stara szkatułka. Miała sztywną oprawę, na której ponaklejane były wypukłe elementy. Z boku wystawała wstążka. Przyjrzałam się. Zdjęcie nie było wyraźne, ale coś mi ten przedmiot przypominał. Już gdzieś go widziałam.
– Był Rosjaninem? – zapytałam po chwili.
– Nic mi o tym ciocia nie wspomniała.
– Tak jak mówiłem, dla mnie, historyka liczą się dowody, a takich brak. Jednak dziadek uważał, że jego ojciec urodził się w Moskwie.
– I myślisz, że dlatego zabrali go?
– przerwałam kuzynowi opowieść.
– Nie znamy powodów aresztowania naszego przodka. Dziadek próbował się dowiedzieć podczas swojej służby, ale nikt nie słyszał nic o aresztowaniu pradiada. Pamiętam, jak opowiadał, że kiedy tak wypytywał, jeden z jego przełożonych, jakiś generał dał mu radę, aby zaprzestał poszukiwania informacji, bo narobi sobie kłopotów. Kiedy dziadek dotarł do służb

specjalnych szlak się urwał.

– Myślisz, że nasz pradziad Józef był rosyjskim agentem? – zapytałam podekscytowana. Jestem fanką thrillerów, w szczególności powieści o agentach i szpiegach.

– Nic nie wiadomo, ale wiele na to wskazuje. Ojciec opowiadał, że jego dziadek dużo podróżował na wschód. Wiem, że importował maszyny rolnicze, ale mogła to być „przykrywka”. Rodzina nie chce o tym za wiele mówić i nigdy nie mówiła. Wiesz, jakie mamy czasy. Zaprzystałam poszukiwania. Nie chcę, aby na uczelni zaczęli snuć jakieś podejrzenia względem mojego pochodzenia. Jednak w starych dokumentach miejscem urodzenia pradziada jest Polska. Jeśli był agentem, a tego nie wiemy na pewno, jego dokumenty mogły być spreparowane.

– Nie wiesz, czy prababcia dowiedziała się o tym? – przypomniałam sobie jak wujek Ignacy opowiadał, że po powrocie męża załamała się i zmarła.

– Nie wiem. Ale na pewno musiała się domyślać. Popatrz na fakty. Zabierają go, prababka go poszukuje i niczego nie może się dowiedzieć. Po latach wraca, ma ślady złamań i pobicia. Jest innym człowiekiem, nic nie mówi. Co mogła myśleć?

*

W drodze do domu analizowałam nowe wieści o moich przodkach. Wyobrażnia podsuwała mi smutną historię mojej

rodziny. Pradziad jako agent zjawiał się w Polsce. Niespodziewanie zakochał się w mojej prababce Felicji i ożenił się. Założył gospodarstwo i mógł swobodnie prowadzić podwójne życie.

– Czy kochał swoją żonę? Czy kochał dzieci? Czy też byli jedynie po to, aby nie wzbudzał podejrzeń? Czy nadal był agentem, czy też zakochał się na zabój i zostawił wojsko. Ale czy można się wycofać? A jeśli był oszustem i Felicja się o tym dowiedziała? – Moje myśli krążyły niespokojnie. – Jeśli był szpiegiem, czy dbałby tak o rodzinę, chcąc zapewnić im wygodę i byt?

Poczułam jak opadam z sił. Dłonią odgarnęłam śnieg z ławki i przysiadłam. Rozejrzałam się wokół.

– Niebawem święta – przypomniałam sobie. – Ludzie o tej porze roku dostają przyśpieszenia. Może to przedświąteczne podekscytowanie? Mijali mnie jakbym była niewidoczna. Sprawiali wrażenie osób spóźnionych. Nikt nie spacerował po skwerku, nikt nie rozglądał się, nie lepił bałwana. Kiedy tak siedziałam samotnie na ławce przyszła mi do głowy pewna myśl. Może potomkowie przodków pradziadka będą więcej o nim wiedzieli. Przecież ktoś musiał wiedzieć jakiego pochodzenia był Józef. Czy służył w wojsku, a jeśli tak to w jakim? W polskim czy radzieckim? I ta książeczka – szkatułeczka nie dawała mi spokoju. Gdzie ja ją widziałam?

TK



JAK W KALEJDOSKOPIE, CZYLI DZIEŃ, W KTÓRYM POCZUŁAM SIĘ STARO

Karolina Dyja

Ludzie zazwyczaj „odmładzają” mnie o jakieś dwa lub trzy lata (choć zdarza się, że więcej – rekordzista odjął siedem). Zawsze trochę mnie to drażniło – w końcu, która zbuntowana małolata chciałaby usłyszeć, że wygląda jak dziecko – a trochę speszeni rozmówcy pocieszali, że za parę lat przestanie mi to przeszkadzać. A jednak nadszedł dzień, w którym... poczułam się po prostu staro. Wszystko za sprawą starej piosenki, którą przypadkiem usłyszałam w radio.

– Nagrywaliśmy ją na kasetę, pamiętasz naszą składankę hitów? – Szturchnęłam w żebra o dwa lata starszego kuzyna.

– Jasne! – Ożywił się P. – To było jakoś dwanaście lat temu, nie?

Po chwili rozmowa zeszła na tematy wspomnieniowe: gry w Mario i „Kaczki” i „Czołgi” na Pegasusie, kolekcjonowanie dyskietek z gramami, nasze pierwsze komputery (oczywiście niepodłączone do Internetu) kupione za pieniądze komunijne, stary, dobry Cartoon Network z Dexterem i Atomówkami, Adventure Pinball, Icy Tower, pierwszy telefon komórkowy, który pieszczotliwie nazywaliśmy „cegłą”... Przypomniały nam się nawet gumy „Donald” i radocha, jaką mieliśmy, pijąc oranżadę „na miejscu”.

Moi młodszy bracia mogliby popukać się w czołko – ewentualnie po prostu sceptycznie na nas spojrzeć. Dla nich komputer to rzecz normalna, jak spanie i jedzenie. Pegasus został zastąpiony przez coraz bardziej „wypasione” konsole PlayStation i X-Box. Chłopcy chyba nigdy nie widzieli na oczy dyskietki i kasety magnetofonowej – znają tylko płyty. Nie poznali radości z kolekcjonowania kaset video: w końcu w „ich czasach” bajki i filmy nagrywa się na płyty albo po prostu ściąga z Internetu.

Kiedy Brat po raz tysięczny robi ze mnie miazgę w Wormsach (chyba nigdy nie nauczę się obsługi pada!), uświadamiam sobie, że dla niego jestem kimś w rodzaju mamuta: nie znam się na najnowszych grach, PlayStation to dla mnie czarna magia. Może kojarzę, co to Smartfon i Ipad, ale nie rozumiem, dlaczego jest on niezbędny do funkcjonowania... Jednym słowem, dla Młodego obciach.

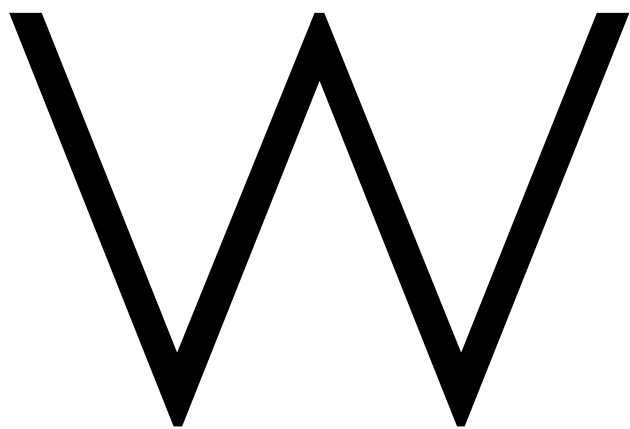
Zaczynam się zastanawiać, co będzie za dwadzieścia, trzydzieści lat? Jestem bardzo ciekawa, co wymyślą moje dzieci, a później wnuki. Może będą z niedowierzaniem słuchać o smartfonach jako symbolu zamierzchłej przeszłości?

Możliwe. W końcu świat zmienia się jak w kalejdoskopie, prawda?

KD

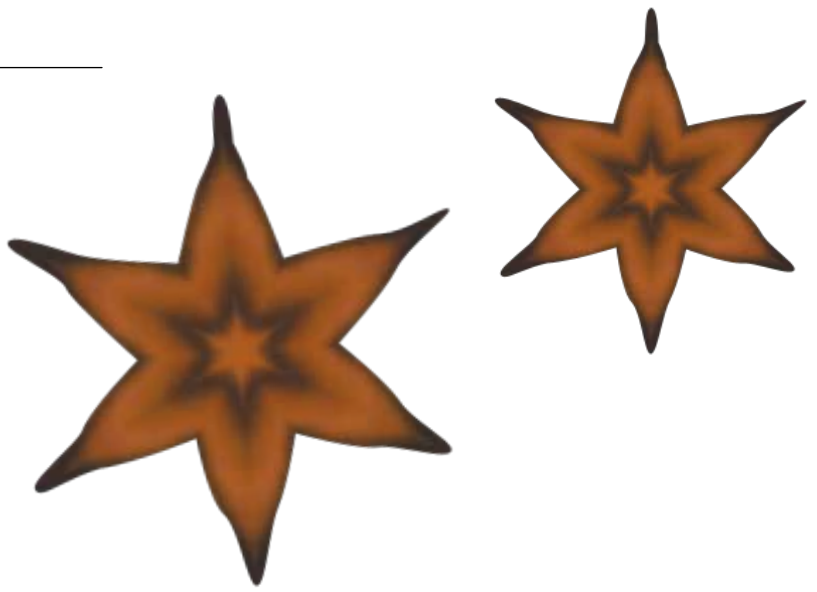
NOWY MĘŻCZYŻNA

Katarzyna Drzazgowska



przeszłości mężczyźni posiadali niezaprzeczalną przewagę nad kobietami. Zapewniali rodzinie środki do życia, byli politykami, przedsiębiorcami i właścicielami. Obecnie w świecie, w którym wszystko zmienia się jak w kalejdoskopie, pozycja mężczyzn zachwiała się w posadach. W społeczeństwie wszechobecnej konsumpcji mężczyźni lekko zagubieni i oszołomieni biegają po świecie niczym po ogromnym supermarkecie, próbując zappełnić koszyk najlepszymi produktami. Podstawową kategorię ideologii konsumpcyjnej stanowi przyjemność. Istotą nowej moralności jest przekonywanie ludzi, że życie wypełnione przyjemnościami jest bardziej moralne niż umartwianie

się od świtu do zmierzchu. Podważone zostają kulturowe podstawy męskiej dominacji nad kobietami. Coraz częściej chociażby w reklamach prezentowany jest model, w którym to kobieta wysyła mężczyznę po zakupy, co w tradycyjnym modelu przypisane jest do typowo kobiecych powinności. W społeczeństwie konsumpcyjnym jednostka nie jest w stanie osiągnąć trwałej satysfakcji. Gdy męskiemu konsumentowi wydaje się, że osiągnął punkt ostatecznej szczęśliwości (kupił sobie wymarzony samochód czy zrobił najmodniejszą fryzurę), jest to odczucie chwilowe. Za moment satysfakcja mija i trzeba jej szukać gdzie indziej. W ten sposób wpada w spiralę poszukiwania nowych konsumpcyjnych wrażeń do zaspokojenia. Tak też dzieje się z mężczyznami. Dawniej pełniący funkcję głowy rodziny i odpowiedzialny zastąpiony został przez mężczyznę nastawionego na rozrywkę i zabawę. Męskie ciało, które miało być stalowym, odpornym na ból i choroby pancierzem, obecnie jest równie kruche i wrażliwe, jak kobiecy organizm. Panowie coraz częściej biegają do lekarzy



w poszukiwaniu wspaniałego antidotum na realne lub wyimaginowane choroby. W przeszłości wydawać się mogło, że jedynie kobieta posiada ciało, które mężczyzna podziwia i zdobywa. Mężczyzna postrzegany był poprzez swój umysł i intelekt. W kulturze współczesnej ciało męskie staje się obiektem zainteresowania i krytyki. Trudno nie zauważyć, że tyranizowani (podobnie jak kobiety) przez obraz lansowany w mass mediach, zmuszani są do ciągłego monitorowania siebie i dostosowywania się do mody i obowiązujących trendów. Skąd ta zmiana? Tak długo, jak mężczyźni kontrolowali sferę ekonomiczną, ich wygląd miał drugorzędne znaczenie. Zmiany na rynku pracy, wzrost udziału kobiet w strefie zawodowej i rosnące bezrobocie wśród mężczyzn sprawiły, że wygląd stał się jednym z ważniejszych czynników w walce o sukces zawodowy także dla panów. Tak więc, mężczyzna nie tylko musi być profesjonalistą w swoim fachu, musi także wyglądać jak profesjonalista, co często wiąże się z długimi godzinami spędzonymi u fryzjera, kosmetyczki czy w centrum

handlowym. Ciało staje się przedmiotem zainteresowania, a także kobiecej fascynacji i pożądania, dostarcza też wizualnej i estetycznej przyjemności. Przełomem w tej kwestii były reklamy bielizny męskiej Calvina Kleina, przedstawiające obnażone, muskularne, zmysłowe ciała. Coś, co wcześniej byłoby nie do pomyślenia, gdyż nie było zgodne z tezą o męskiej dominacji. Zamiast niej posunięto się do seksualizacji ciał mężczyzn i potraktowania ich w sposób analogiczny do kobiet. Do tych zjawisk przyłączyć można także przeobrażenia w modzie. Coraz częściej zobaczyć można panów przemierzających miasto z torebką i w spodniach, które spokojnie należeć by mogły do jego dziewczyny. Występuje również zjawisko odwrotne, czyli feminizacja męskich ubrań i dodatków – gdy noszą je kobiety. Pojęcia „mężczyzna” i „kobieta” nie są już traktowane jako bieguny antynomii, między którymi nie ma połączenia. W XXI wieku męska dominacja jest mitem, a kryzys męskości stał się faktem.

KD

O POLAKACH KILKA SŁÓW

Łukasz Lubański

Nie tak dawno obchodziliśmy Narodowe Święto Niepodległości. Wielu tak zwanych ekspertów z przykrością stwierdzało, że Polacy są podzieleni i nawet w takim dniu nie potrafią się zjednoczyć. Z jednej strony mieliśmy Marsz Niepodległości, z drugiej pochód antyfaszystów. Trudno winić tych ludzi za odmienne poglądy polityczne, czy światopoglądowe. W końcu mamy demokrację gdzie takie różnice są wskazane. Jednak czy jest coś co Polaków łączy? Czy mamy jakieś wspólne cechy? Odpowiedzi najlepiej szukać w historii, ponieważ gdy jakieś zachowania są niezmiennie przez stulecia bądź występują co jakiś czas, to musi być coś na rzeczy. Ot, pierwsza z brzegu cecha. Od zawsze pokutuje przekonanie, że Polacy nie potrafią się ze sobą dogadać. Wystarczy spojrzeć na polityków. Dawniej nie było inaczej. W XII wieku Bolesław Krzywousty podzielił państwo pomiędzy swoich synów (nie licząc Salomei). Wydawać by się mogło, że

wszystko będzie w porządku. W końcu są braćmi. Jednak relacje pomiędzy nimi dobrze opisuje współczesne przysłowie, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciu. W ich przypadku na drzeworycie. Nieustające wojny, kłótnie i roszczenia. Innym przykładem są rozbiory. Ten kto myśli, że to mocarstwowe ambicje naszych sąsiadów do nich doprowadziły ma tylko połowiczną rację. Główną winę ponosi szlachta, która nie potrafiła się pomiędzy sobą porozumieć i zachęcona przywilejem jakim było **liberum veto** odrzucała prawie każdą reformę. Inaczej sytuacja wygląda, gdy dochodzi do jakiegoś wiekopomnego, czy to smutnego, czy radosnego wydarzenia. Wtedy znikają wszelkie podziały i wszyscy się jednoczą. Niech przykładami będą „Solidarność”, śmierć Papieża i Euro. Wracając do szlachty. Jest ona świetnym obrazem polskich cech narodowych. Weźmy choćby zamięłowanie do zabawy, oczywiście suto zakrapianej. W XVII wieku istniał zwyczaj tzw. kuligu. Jego celem nie

była jednak sama przejażdżka, ale punkt docelowy. Mianowicie polegało to na tym, że w okresie zimowym szlachcic zbierał całą swoją rodzinę i jechali do najbliższego sąsiada – szlachcica z pobliskiej wsi. Ten zgodnie ze zwyczajem musiał ich ugościć i tak biesiadowali aż do wyczerpania zapasów. Następnie szlachcic, który był gospodarzem dołączał do kuligu i jechali do następnej wsi. Chciałbym zobaczyć minę któregoś kolejnego szlachciury, który musi ugościć kilkunastu bądź kilkudziesięciu gości. A tak o pijaństwie polskiej szlachty pisał Ignacy Krasicki:

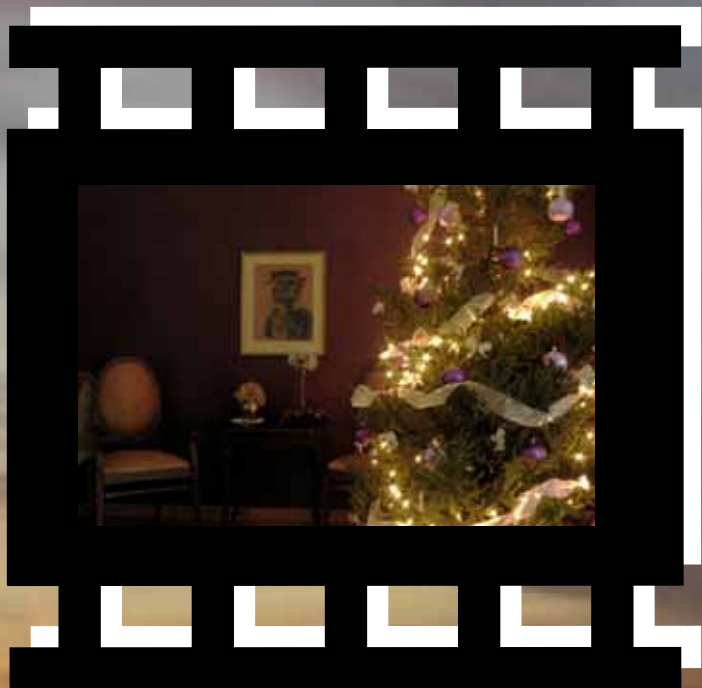
„[...] Upiłem się onegdaj dla imienin żony;
Nie żał mi tego było. Dzień ten obchodzony
Musiał być uroczyście. Dobrego sąsiada
Nieźle czasem podpoić; jejmość była rada,
Wina mieliśmy dosyć, a że dobre było,
Cieszyliśmy się pięknie i nieźle się piło.
Trwała uczta do świtu. W południe się budzę,
Cięży głowa jak ołów, krztuszę się i nudzę.
[...] Wtem dwóch z uczty wczorajszej
kompanów przybyło.
Jakże nie poczęstować, gdy kto w dom
przychodzi?
Jak częstować, a nie pić? I to się nie godzi.
Więc ja znowu do wódki [...]”

Oprócz motywu pijaństwa mamy w tej satyrze także motyw gościnności. Jest to już chyba legendarna cecha Polaków. Podczas gdy panuje kryzys i z czysto ekonomicznego punktu widzenia powinna obowiązywać zasada „gość w dom, cukier do szafy”, to w Polsce nic się w tym względzie nie zmieniło. Nadal chętnie przyjmujemy gości, racząc ich wieloma przysmakami, trunkami i Bóg wie jeszcze czym. Jednak

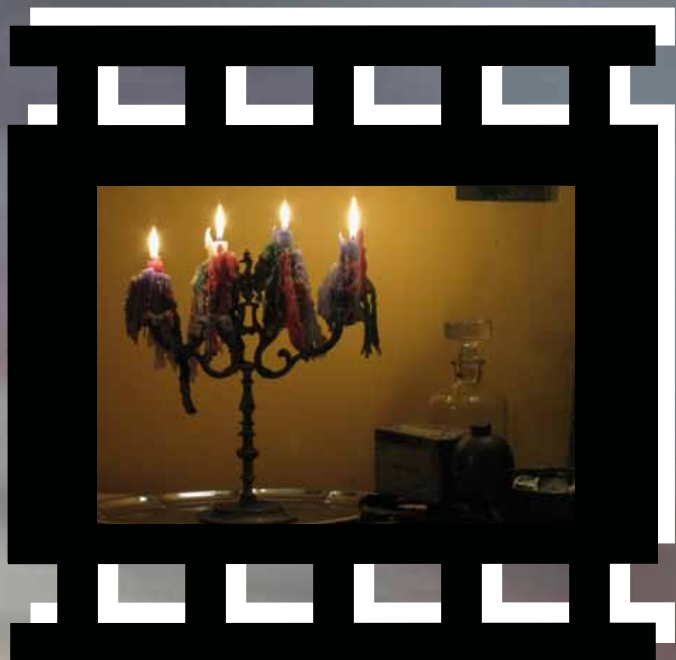
sprawdzaliśmy się nie tylko jako gospodarze we własnym domu, ale także w kraju. Polska kiedyś uchodziła za kraj tolerancyjny, za tzw. „kraj bez stosów”. W XIV wieku, kiedy dżuma spustoszyła Europę za głównego winowajcę choroby uznano Żydów. Znaleźli oni schronienie dopiero w Polsce. Dzisiaj pod tym względem nastąpiła duża zmiana. Staliśmy się społeczeństwem ksenofobicznym. Ktoś jest antysemitą, ktoś rusofobem. Szkoda, że tak się stało, bo świat coraz bardziej się zawęża i żyjemy w globalnej wiosce, gdzie tolerancja powinna być naszą główną cechą. Jak już jesteśmy przy porażkach... Kiedyś zauważyłem i nie potrafię tego zrozumieć, że w Polsce świętuje się tylko porażki. Jedynymi zwycięstwami jakie hucznie obchodzimy są rocznica Bitwy pod Grunwaldem i wcześniej wspomniane Święto Niepodległości. Poza tym same porażki: wybuch II wojny światowej, powstanie warszawskie, powstanie w getcie warszawskim, zamordowanie oficerów w Katyniu. Oczywiście, nie chcę nic ujmować tym wydarzeniom, ale naprawdę tak ciężko znaleźć jakieś optymistyczne, nie zmuszające do zadumy momenty w naszej historii? Coś w tym jest, że najlepiej czujemy się w roli ofiar i chcemy być takim mickiewiczowskim „Chrystusem narodów”.

Nie są to wszystkie cechy naszego społeczeństwa, można by jeszcze wymienić kilkanaście, ale chciałem wybrać według mnie takie najbardziej sztandarowe. Każdy naród chciałby być idealny, Polacy na pewno nie są, ale przynajmniej warto się starać, żeby to zmienić.

ŁŁ











fot. Bartek Trzeszkowski



Taniec w indyjskim kinie

Joanna Wroczyńska

Indie,

to kraj przepelniony barwami, dźwiękami, zapachami i obrazami, które kontrastują ze sobą niczym w kalejdoskopie. Widać wyraźnie różnice społeczne i ogólnie biorąc zróżnicowanie kultury tego kraju, która zdaje się być nie do opisanego. Jednak pewne jest, że wszyscy mieszkańcy tego pięknego kraju uwielbiają muzykę, taniec i kino. Bollywood, nasuwa się pierwsze skojarzenie! Tak, jest to największy przemysł filmowy na świecie, w języku hindi, bijący pod kątem ilości produkcji wytwórnie Hollywood.

Ale nie należy zapominać, że w Indiach wytwórni filmowych jest mnóstwo, dla przykładu

Tollywood w języku telugu, czy Kollywood z Madrasu, jednak to Bollywood króluje nie tylko w Indiach, ale i na świecie. Jaka jest jednak idea tych filmów? W Indiach, gdzie większość społeczeństwa żyje w skrajnej biedzie, przecież trzeba się jakoś oderwać od niezbyt kolorowej codzienności. Ludzie we krwi mają muzykalność i rytm do tańca, uwielbiają głośno mówić, gestykulować, okazywać emocje i cieszyć z drobnych rzeczy, doceniać to co mają. I tak jak Sienkiewicz „ku pokrzepieniu serc”, tak powstały pełne barw, dźwięków i przepychu filmy, które zapewniają w trakcie 3-godzinnej seansu cały wachlarz emocji i gatunków filmowych od śmiechu do łez, czyli elementy komedii i dramatu w jednym. Oczywiście

obowiązkowo w każdym z filmów pojawia się średnio 5-6 piosenek, do których artyści tańczą z ogromnymi zespołami statystów i tancerzami w tle. A jak reaguje na filmy widowia? Po pierwsze gagi, piosenki i ruchy z filmów są w świadomości każdego i na ulicy często można to zobaczyć, gdy ludzie podśpiewują sobie przy pracy, albo wygłupiają się ze sobą odgrywając scenki i śmiejąc. Natomiast w kinie, w trakcie seansu mało kto siedzi spokojnie i ogląda. Zazwyczaj nie obejdzie się bez głośnych komentarzy, śmiechów, oraz przede wszystkim wspólnego śpiewania piosenek i tańczenia. Tak, właśnie tańczenia! Często widzowie wstają z miejsc i tańczą w trakcie filmu, a później wracają tanecznymi krokami do domu, pokrzepieni słodką historią z wielkiego ekranu. Także u nas w Polsce daje się zauważyć spore zainteresowanie kulturą indyjską i tańcem, który się stamtąd wywodzi. Istnieją zespoły specjalizujące się w tradycyjnych tańcach indyjskich, a także w popularnych

„teledyskowych” numerach. Poza tym wystarczy wybrać się na jedną z organizowanych w większych miastach Polski imprez w stylu Bollywood, aby zobaczyć feerię kolorowych i błyszczących stroi, które podskakują rytmicznie wraz z ich właścicielami w rytm hitów, do których nikt nie ma wątpliwości, jak się tańczy. Tam każdy potrafi zatańczyć tak jak w teledysku, więc zabawy jest co nie miara. Nie wierzycie? Zatem posłuchajcie mojej rady, którą przetestowałam na sobie: w zimie lepiej jest oglądać filmy Bollywood i chodzić na takie imprezy. Właśnie wtedy, nie w lecie. Bo zima przygnębia, wysysa chęć życia. A Bollywood wydaje się być wówczas jeszcze bardziej egzotyczną odskocznią od codzienności. Także nie czekajcie - sięgnijcie po płytę z filmem, muzyką, a potem koniecznie na imprezę! Dajcie się uwieść indyjskim rytmom, wbrew wszelkiej logice. Kalejdoskop, który odkryjecie na pewno zostanie w waszej pamięci na długo!

JW





*Taniec może zmienić pustynie
w pełen zieleni ogród*
autor nieznany





Prowokujące wnętrza

Prowokujące wnętrza

Prowokujące wnętrza



Zatrzymajmy

się czasem, przerwijmy na chwilę bieg codzienności i rozejrzyjmy się uważnie, świat wokół nas jest wielkim kalejdoskopem. Widzimy, oglądamy zwykłe przedmioty odbite w lustrach i w szybach. Obserwujemy różnobarwne, symetryczne figury, magiczne obrazy, kolorowe szkiełka, które układają się w zaskakujące wzory.

W kalejdoskopie fascynująca jest jego niepozorność, nie spodziewamy się, że w zwykłej tubie zamknięty jest magiczny świat. Zmienność ciekawi, przyciąga, hipnotyzuje, chcemy więcej i nie możemy się oderwać. To całe zjawisko kojarzy mi się z konkretną architekturą, prostą, klasyczną z zewnątrz a zaskakującą swym wnętrzem.

Przenieśmy się do Londynu na Gordon Square. Jest to okolica edwariańskich i wiktoriańskich kamienic, domów z epoki królów Jerzego I-IV (1720-1840). Niby zwykła ulica, ciąg eleganckich kamienic z fasadami w stonowanej kolorystyce. W jednej z 4-piętrowych kamienic znajduje się Centrum Filmu i Mediów Wizualnych. Jest to kamienica o zrównoważonej kompozycji, harmonijna bez żadnych dekoracyjnych elementów. Jednak zaskoczenie jest ogromne, kiedy okazują się, że budynek ten kryje w sobie niebanalne wnętrza, kolorowe, ekspresyjne. Wnętrze to zostało zaprojektowane przez londyńską pracownię Surface Architects.

Kamienicę wcześniej zajmowała Virginia Woolf & the Bloomsbury Group, angielska grupa intelektualistów i artystów działających od 1905 roku do II wojny światowej. Po przebudowach i zabiegach konserwatorskich powstała obecna siedziba Centrum, które pełni funkcję ośrodka badawczego w ramach Wydziału Historii Sztuki, Filmu i Mediów Wizualnych Uniwersytetu Londyńskiego. Grupa projektowa, która zajęła się rewitalizacją danego budynku, stanęła przed trudnym wyzwaniem, w konsekwencji przebudowano piwnicę, a także parter kamienicy. Również dobudówka, która powstała w latach 70. XX wieku uległa zmianom. Istniejąca struktura betonu i murów całego budynku została obniżona aby utworzyć kondygnację z nowymi otworami dachowymi, zapewniającymi dostęp światła. Wykorzystano stalowe elementy do wzmocnienia istniejącej powłoki i aby wspierać istniejące podłogi. W projekcie wykorzystano wiele materiałów wykończeniowych takich jak rozciągnięte tkaniny welurowe, błyszczącą żywicę epoksydową, wysokiej jakości dywany, a także szkło i stal. Cała koncepcja zawiera w sobie projekt sali kinowej, która mieści 80 osób, salę seminaryjną, studia nagraniowe oraz część dla pracowników naukowych. Nie zabrakło również przestrzeni na nieformalne spotkania, dyskusje, a także miejsca na różne aktywności



społeczne. Architekci chcieli stworzyć użytkowe wnętrza, tętniące życiem, które stałyby się doskonałym środowiskiem dla artystów.

Punktem wyjścia całej kompozycji jest prosta bryła sali projekcyjnej, dominuje tu kolor granatowy, czerń, wokół niej zaaranżowano całą komunikację. I tu otacza nas świat kolorów, płaszczyzn, które wyglądają jak połamane, ostre tafle szkła lub lustra. Te wnętrza przypominają obrazy z kalejdoskopu. Przeplatające się formy, niewytłumaczalne zjawiska estetyczne, gra kolorów, kształtów, płaszczyzn odbijające światło, wszystko to bardzo silnie działa na nasze zmysły.

Architekci stworzyli prowokujące wnętrza, charakterystyczne i niepowtarzalne. Cała paleta różnorodnych kolorów, potencjalnie nie pasujących do siebie, tu tworzy całość i idealnie ze sobą oddziałowuje. Łączą się tu fiolety, czerwienie, mocny róż, ostre żółcienie, głębokie granaty, pomarańcz, ale także biel i czerń. Całość nie sprawia wrażenia kiczu, intensywna kolorystyka użyta celowo i z pełną świadomością, rewelacyjnie sprawdza się w takiej przestrzeni.

We wnętrzu pojawia się wiele płaszczyzn zestawionych ze sobą pod różnymi kątami. Zróżnicowane faktury nadają jakości, głębi a światło odgrywa dużą rolę, uwydatniając wybrane płaszczyzny i dodając im blasku. Niezwykłym wrażeniem jest iluzja nieskończoności, trójwymiarowości połączonych płaszczyzn.

Projektanci zaproponowali przestrzeń, która na pierwszy rzut oka wydaje się rozchwiana i przypadkowa, ale tak naprawdę jest konsekwentnie przemyślana właśnie po to, aby sprawiać wrażenie dynamicznej kompozycji. Kiedy poruszamy się po tym wnętrzu wokół nas wirują kształty, barwy przenikają się, a perspektywa zmienia się z każdym naszym krokiem.

Ciekawym zabiegiem jest przetworzenie prostego wnętrza w miejsce zupełnie nieoczekiwane, odbiegające od wszystkich stereotypów. Płaszczyzny kolorów naniesione na ściany nieoczekiwanie zmieniają swoje kierunki, nasze oko nabiera się na złudzenia optyczne jakie powstają.

Wnętrza Centrum przypominają mi zatrzymane obrazy z kalejdoskopu. To najbardziej wyraziste wizualnie i formalnie miejsce, gdzie logika, koncepcja i szczegóły zostały doprowadzone do perfekcji. To wnętrze, które swoim wyrazem stymuluje i inspiruje, a przebywając tu nie pozostajemy obojętni na wrażenia jakie wywołuje. Stajemy się przez to niejako pewną częścią tej barwnej, nieszablonowej kompozycji.

MŚ

WIEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon

powieść w odcinkach

cz. XIV

Marianna poukładała swój świat, a przynajmniej próbowała dać sobie z nim radę. Codziennie wstając odpędzała od siebie myśl, aby spojrzeć w stronę tej części postania, gdzie sypiała Odina. Zbieranie, suszenie, rozsypywanie ziół. Ucieranie maści. Zajmowanie się domem i różnymi, drobnymi lub większymi, sprawami mieszkańców wioski zajmowały jej całe dni. Wiedziała, że jest im potrzebna. Ale...nie z tego powodu, że ją lubili, nie dlatego że była Marianną, która mieszka na górcie, była im potrzebna jej wiedza. Gdyby nie było tu jej, na pewno znaleźliby sobie kogoś innego. Czasami stawał jej przed oczami obraz Biorga. Ale,

on także nie był dla niej. Miał rodzinę. Szanowała to. Żeby zająć wszystkie wolne chwile tkła. Zajęła się także toczeniem świec. Żeby tylko nie myśleć. Nie myśleć. Przestała zdawać sobie sprawę jaki jest dzień tygodnia i miesiąca. Padając wieczorem na zajęcze skórki pokrywające postanie zapadała w sen. Zmęczona nie śniła. Najgorsze były niedziele. Tak, wtedy wiedziała że jest czas wolny. Nikt nie pracował na polu. Z wioski dobiegały dźwięki zabawy. Czasem ktoś zajrzał idąc w kierunku rzeki, ale Odina się nie pojawiała. Nie chciała myśleć jak się układa córce na zamku. Bała się. Czekwała na to co ma przyjsć z desperacją osoby, która już niejedno w życiu widziała. Zdawała



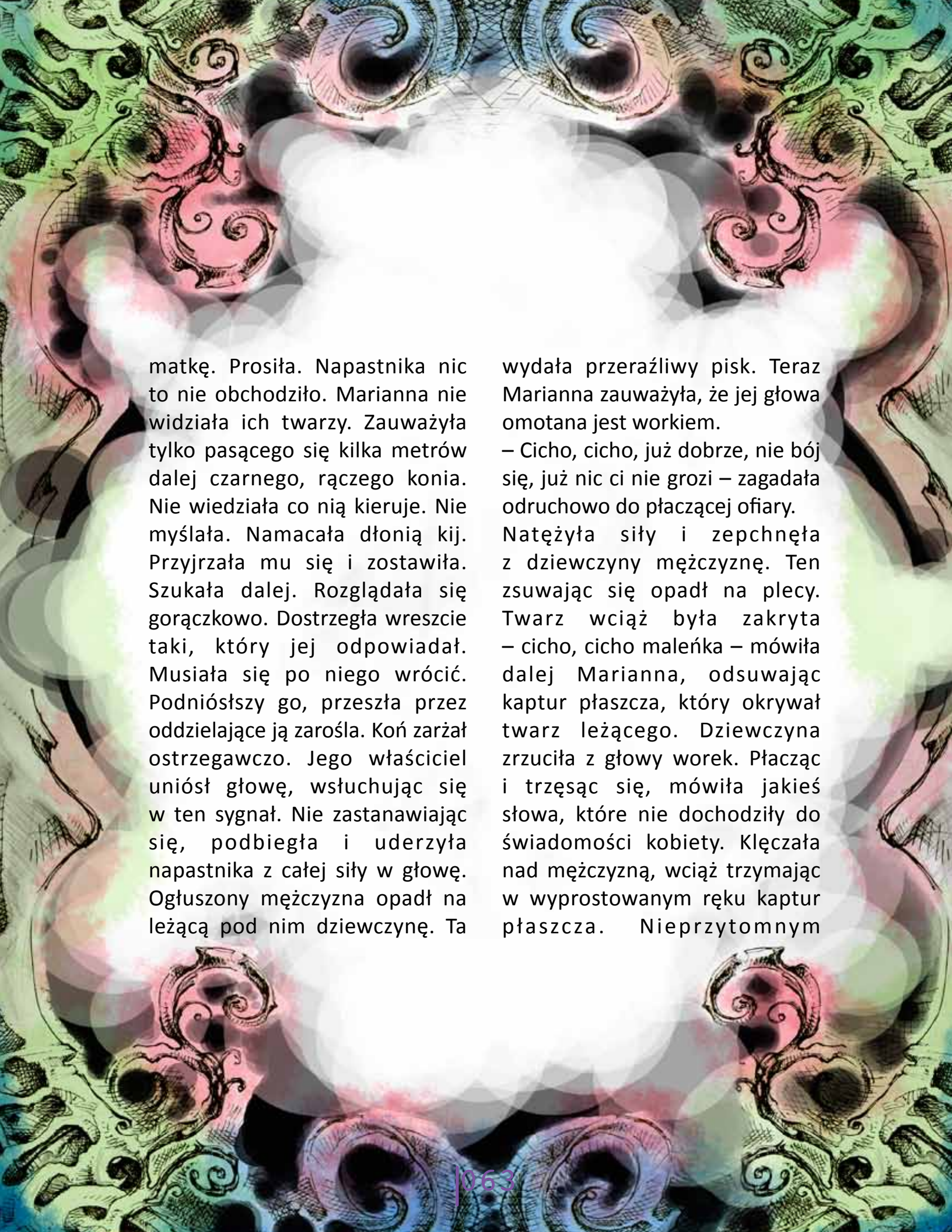
sobie sprawę, że i Odina musi się uczyć na własnych błędach. Tak bardzo chciała żeby nie były one zbyt bolesne. Tęskniła. Wybrała się nawet raz na podgrodzie, ale nie dostrzegła córki przez uchyloną bramę zamku. A może Odina znalazła tam swoje miejsce. Może i dobrze jej tam było? Marianna nie zostawiała jednak zbyt dużo miejsca w swoim sercu na nadzieję. Znowu przyszła niedziela. Kolejna samotna i smutna. Kobieta chcąc zapomnieć o nękających ją myślach poszła w górę rzeki. Z dala od brodu, gdzie na pewno spotkałaby idących do podgrodzia ludzi. Szła przyglądając się wodzie. Płynęła jasna i szybka. Taka czysta. Taka bezpieczna i doskonała.

Zanurzyć się i zapomnieć. Na zawsze. Nie myśleć, nie przeżywać kolejnej niedzieli. Nie tęsknić. Nie cierpieć... Zanurzyła nogi. Woda była chłodna. Jakże miła w tak gorący dzień. Docierała do jej kolan, zaczynała obmywać uda. Jak miło było czuć ten dotyk na swojej rozgrzanej słońcem skórze. Marianna szła w głąb rzeki, zanurzając się coraz bardziej i bardziej. Delikatny, pieszczotliwy i jednocześnie silny dotyk wody obejmował ją i zapraszał dalej. Dawno nie czuła się taka spokojna. Obmyła wodą twarz. Zanurzyła się po szyję. Musiała przykłęknąć, aby tego dokonać. Włosy rozplotły się i tworząc jasny wir na powierzchni rzeki i próbowały płynąć z prądem. Tak dobrze.



Suknia oblepiła ją podobnie jak włosy chcąc płynąć dalej. Kobieta położyła się na powierzchni wody. Poddała się rzece. Pozwoliła się unieść. Przez stykające się ze sobą gałęzie drzew patrzyła na niebo. Jasne. Czyste. Obojętne. Nie ruszała się, całkowicie oddając się we władanie wody. Zamknęła oczy. Nie wiedziała jak długo trwała ta chwila. Nagle zatrzepotała ramionami. Woda zalała jej twarz i na chwilę ogłuszyła. Marianna spróbowała stanąć. Palcami ledwie dotykała w tym miejscu dna. Zdecydowanymi ruchami ramion przybliżała się do brzegu. Stopy zaczęły iść pewniej. Rozejrzała się teraz za tym co ją wybiło z rytmu wody. Znowu posłyszała

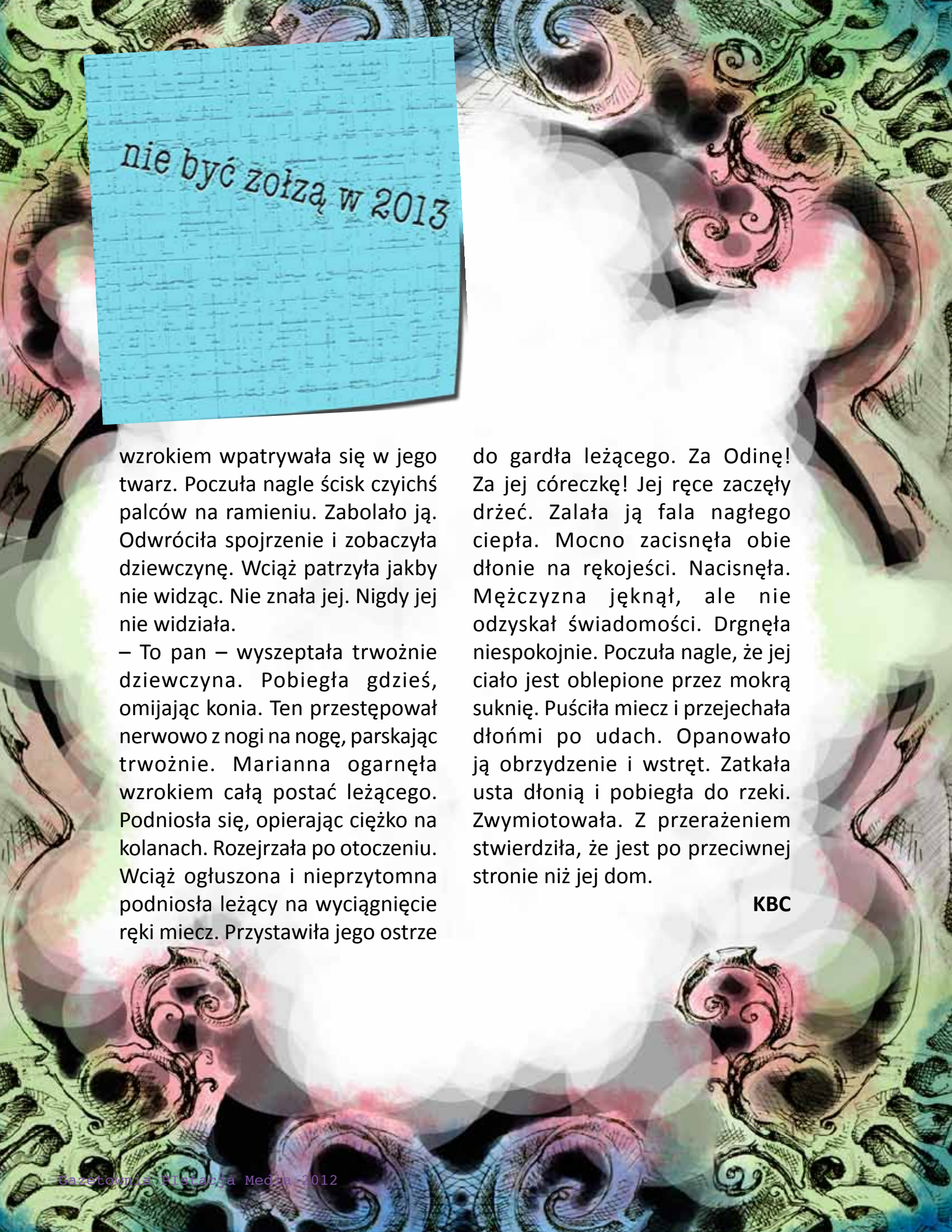
ten krzyk. Rozpaczliwy. Przeszywający. Dziewczęcy. Wzywający ratunku. Dochodził ją zza zarośli porastających brzeg rzeki. Był zduszony i przerażony. Wyszła z rzeki. Zaczęła się przedzierać. Kiedy zdawało się jej, że już dochodzi do źródła głosu jakiś korzeń, o który zaczepiła się jej noga, przewrócił ją na ziemię. Przeszła kilka metrów na czworaka, chcąc sprawdzić, z czym ma do czynienia. W zaroślach, na połamanych krzaczkach jagód zobaczyła plecy mężczyzny pomiędzy rozsuniętymi dziewczęcymi nogami. Dziewczyna kopła i rzucała się. Płakała i zaklinała mężczyznę, żeby ją puścił i nie robił jej krzywdy. Wzywała



matkę. Prosiła. Napastnika nic to nie obchodziło. Marianna nie widziała ich twarzy. Zauważyła tylko pasącego się kilka metrów dalej czarnego, rączego konia. Nie wiedziała co nią kieruje. Nie myślała. Namacała dłonią kij. Przyjrzała mu się i zostawiła. Szukała dalej. Rozglądała się gorączkowo. Dostrzegła wreszcie taki, który jej odpowiadał. Musiała się po niego wrócić. Podniósłszy go, przeszła przez oddzielające ją zarośla. Koń zarżał ostrzegawczo. Jego właściciel uniósł głowę, wsłuchując się w ten sygnał. Nie zastanawiając się, podbiegła i uderzyła napastnika z całej siły w głowę. Ogłuszony mężczyzna opadł na leżącą pod nim dziewczynę. Ta

wydała przeraźliwy pisk. Teraz Marianna zauważyła, że jej głowa omotana jest workiem.

– Cicho, cicho, już dobrze, nie bój się, już nic ci nie grozi – zagadła odruchowo do płaczącej ofiary. Natężyła siły i zepchnęła z dziewczyny mężczyznę. Ten zsuwając się opadł na plecy. Twarz wciąż była zakryta – cicho, cicho maleńka – mówiła dalej Marianna, odsuwając kaptur płaszcza, który okrywał twarz leżącego. Dziewczyna zrzuciła z głowy worek. Płacząc i trzęsąc się, mówiła jakieś słowa, które nie dochodziły do świadomości kobiety. Klęczała nad mężczyzną, wciąż trzymając w wyprostowanym ręku kaptur płaszcza. Nieprzytomnym



nie być zołą w 2013

wzrokiem wpatrywała się w jego twarz. Poczuła nagle ścisk czyichś palców na ramieniu. Zabolało ją. Odwróciła spojrzenie i zobaczyła dziewczynę. Wciąż patrzyła jakby nie widząc. Nie znała jej. Nigdy jej nie widziała.

– To pan – wyszeptała trwożnie dziewczyna. Pobiegła gdzieś, omijając konia. Ten przestępował nerwowo z nogi na nogę, parskając trwożnie. Marianna ogarnęła wzrokiem całą postać leżącego. Podniosła się, opierając ciężko na kolanach. Rozejrzała po otoczeniu. Wciąż ogłuszona i nieprzytomna podniosła leżący na wyciągnięcie ręki miecz. Przystawiła jego ostrze

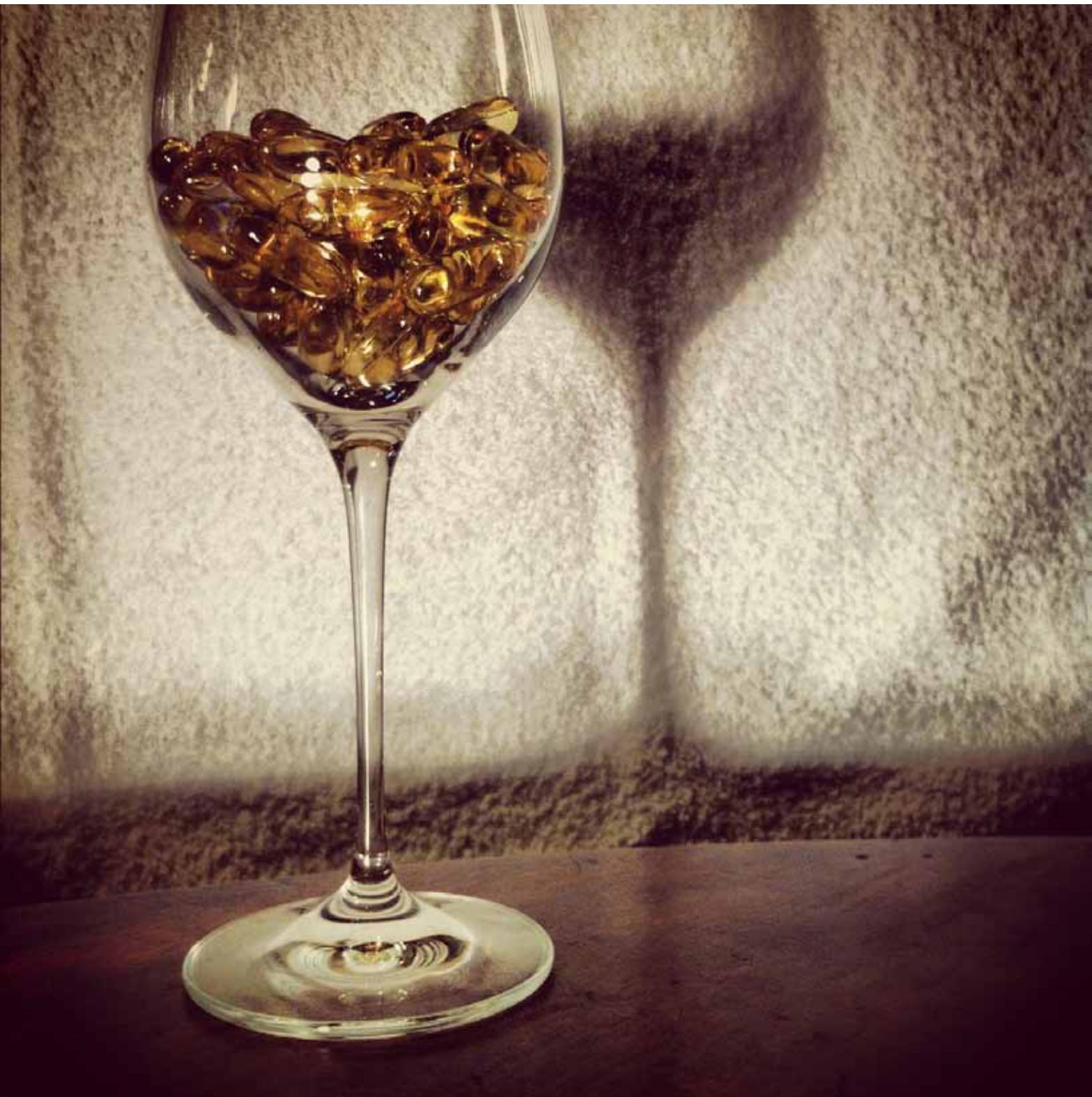
do gardła leżącego. Za Odinę! Za jej córeczkę! Jej ręce zaczęły drżeć. Zalała ją fala nagłego ciepła. Mocno zacisnęła obie dłonie na rękojeści. Nacisnęła. Mężczyzna jęknął, ale nie odzyskał świadomości. Drgnęła niespokojnie. Poczuła nagle, że jej ciało jest oblepione przez mokrą suknię. Puściła miecz i przejechała dłońmi po udach. Opanowało ją obrzydzenie i wstręt. Zatkąła usta dłonią i pobiegła do rzeki. Zwymiotowała. Z przerażeniem stwierdziła, że jest po przeciwnej stronie niż jej dom.

KBC



Opowieść Wigilijna
Katarzyna Bogucka

- Co słyszeć biznesmenie?
- W porządku rosnę w cenie
- Kupiłem już samolot
- A teraz kupuje wodolot
- Pojutrze kupię górę
- Ogrodzę ją złotym murem
- Pojutrze są święta!
- Któż teraz o tym pamięta



Aptekarz też lekarz?



O zawodzie aptekarza z dr farmacji **Katarzyną Romanowską** rozmawia Joanna Wroczyńska



Na każdym rogu widzi się dzisiaj apteki, z nimi właśnie kojarzy się zawód farmaceuty. Ale przecież nie tylko tam znajdzie on pracę, prawda? Jak to jest, gdzie może pracować farmaceuta? Jakie ma perspektywy zawodowe?



Faktycznie zawód farmaceuty kojarzy się przede wszystkim z aptekarstwem. W rzeczywistości, jest to zawód niezwykle wszechstronny. Farmaceuta może pracować w różnych laboratoriach, nie myślę tu o pracy stricte naukowej, ale o laboratoriach wykonujących różne analizy biochemiczne na komercyjny użytek, np. w badaniach DNA, w analityce medycznej etc. Oczywiście farmaceuta może znaleźć pracę w wytwórniach leków, suplementów diety, przy produkcji leków i przy kontroli jakości. Jest trochę farmaceutów, zajmujących się branżą hurtową. Tam również jest stanowisko kierownika hurtowni farmaceutycznej, które może piastować tylko

farmaceuta. Jeśli chodzi o pracę naukową, to spektrum jest duże, od biochemii, fizjologii, genetyki po farmakologię a nawet chemię. Farmaceuci często szukają pracy w firmach farmaceutycznych. Tu realizują się ci, którzy mają trochę inne zainteresowania czy predyspozycje i jednocześnie dobre wykształcenie. Pracują w działach sprzedaży, czasami nawet marketingu i przy badaniach klinicznych.

Jeśli mówimy o zawodzie, to warto byłoby uściślić – jakie wykształcenie powinien mieć farmaceuta i czy pracując w aptece potrzebuje jakichś dodatkowych uprawnień? Czy jest to zawód wymagający jednorazowego otrzymania dyplomu, czy jednak niezbędne jest wieczne doksztalcanie się i zdobywanie nowej wiedzy, umiejętności?

Wieczne doksztalcanie... brzmi negatywnie. To się nazywa szkolenie ciągłe i jest w tym zawodzie konieczne. Nauka w tej dziedzinie zmienia się bardzo szybko. Szkolenie ciągłe od niedawna jest konieczne do utrzymania prawa zawodu aptekarza. Farmaceuci, którzy nie pracują jako aptekarze mogą sobie odpuścić szkolenia. Dyplom pozostaje na zawsze. Prawo wykonywania zawodu aptekarza jest dodatkowym uprawnieniem, otrzymywanym po studiach. W ciągu kolejnych pięciu lat trzeba uczestniczyć w odpowiednio punktowanych szkoleniach i zaliczyć taką „pięciolatkę”. A potem kolejna....

Skończyłaś więc studia na farmacji, opowiedz o nich parę słów. Czy było ciężko? Dużo wkuwania łacińskich nazw? Który przedmiot był Twoim ulubionym, a który znienawidzonym i dlaczego? Czy ludzie na studiach byli pewni tego, że chcą pracować w zawodzie, czy może mieli inne plany? Czy oprócz zapaleńców spotkałaś osoby o szerszych niż lekarstwa zainteresowaniach?

Pierwsze trzy lata są trudne. Wydział farmacji ma trochę inny charakter niż inne studia. Bardziej przypomina szkołę. Jest masa zaliczeń, wejściówek, kartkówek, testów poza sesją i tak naprawdę większą trudnością było zostać dopuszczonym do egzaminów niż je zdać. Łacińskich nazw nie wspominam jakoś najgorzej. W sumie to powraca w pracy aptekarza, dziś jakoś nie potrafię ocenić tego jednoznacznie negatywnie. Chyba mnie te nazwy łacińskie nawet „kręciły”. Może dlatego też, że ja lubiłam biologię i botanikę (mało popularne przedmioty na farmacji). Jeśli chodzi o plany życiowe studentów, to była grupa osób, których

rodzice mieli apteki i oni mieli absolutną jasność, gdzie będą pracować. Reszta miała plany, że raczej wszystko inne tylko nie apteka, ale większość poszła do apteki. A jeśli chodzi o ostatnie pytanie, to studenci farmacji nie są dziwakami. Nie myślą jak nawiedzeni o lekach, idąc na studia, ani o podobnych rzeczach. Jak każdy człowiek na tym etapie interesują się muzyką, kulturą, podróżami i sportem. Może tym się tylko różnią, że nie lecą od razu na kulturoznawstwo tylko podchodzą do swoich życiowych decyzji z większym praktycyzmem. Myślę, że to ich głównie wyróżnia. Dla nikogo praca w aptece nie była na pierwszym, drugim czy trzecim roku celem i realizacją marzeń. Wszyscy wiedzieli za to, że będą mieli wybór, a to rzadkość u dzisiejszych absolwentów.



Skąd wziął się u Ciebie pomysł na studia i pracę związaną z lekami? To był Twój jedyny pomysł na siebie, czy miałaś jakieś inne plany zawodowe? Opowiedz o tym.

Lubiłam chemię i biologię. To był pierwszy warunek. Na medycynę byłam za słaba z fizyki. Rodzice mnie namawiali na farmację. Zdecydowały względy praktyczne. Ja nie widzę w ogóle takiej możliwości, że człowiek osiemnastoletni może mieć dobry pomysł na siebie. Moim zdaniem to możliwe tylko u wybrańców. Nie pamiętam, żeby zbyt wielu ludzi miało konkretną wizję co chcieliby robić, oprócz oczywiście takich, którzy konkretnie i praktycznie – prawo, medycyna, stomatologia, elektronika, informatyka...

Patrząc z perspektywy czasu, czy jesteś zadowolona z pracy, jaką wykonujesz? Czy jest ona opłacalna, satysfakcjonująca finansowo?

Jestem bardzo zadowolona. Z każdym rokiem coraz bardziej. Pracowałam w wielu branżach, w każdej odnalazłam sporo satysfakcji. Nigdy nie miałam kłopotów z pracą i wiem, że ludzie po moich studiach jej nie mają. Oczywiście wszystko zależy jakie są ich oczekiwania finansowe, ale pewne minimum satysfakcji zawsze można sobie jako farmaceuta zapewnić. Kobiecie daje to niezależność finansową, a dodatkowo możliwość poświęcenia się w większym stopniu rodzinie, jeśli tego chce, oczywiście.

Czy nie uważasz, że przeżywamy w Polsce istny wysyp aptek? Chyba w związku z tym nie trudno jest znaleźć zatrudnienie w tej branży? Na jakim stanowisku związanym z farmacją zarabia się największe pieniądze?

Odpowiedź na ostatnie pytanie – oczywiście na stanowisku prezesa. Trochę trudniej jest znaleźć pracę. Ale wciąż każdy ją znajduje choć Eldorado się już skończyło.

Jakie cechy, czy predyspozycje są potrzebne, aby dobrze pracowało się za apteczną ladą? Czyli komu poleciłabyś tego typu pracę, a komu odradziła?

Na całe życie – trzeba mieć dużo cierpliwości i lubić jednocześnie spokojną pracę. Trzeba mieć podstawowe umiejętności skupienia i nie być chaotycznym. Na krótki czas, na kilka lat, to każdy może to robić.

Przychodzą do Ciebie codziennie ludzie w różnym wieku, z różnymi schorzeniami. Nieraz wydajesz przepisane leki, a niekiedy to Ty musisz zdecydować i polecić choremu najlepszy lek na jego dolegliwości. Jak to jest z odpowiedzialnością zawodową? Co jeśli polecisz komuś lek, który w rzeczywistości mu zaszkodzi?

Te silniejsze leki są na receptę. Aptekarz musi je tylko prawidłowo wydać. Polecamy wyłącznie słabe środki bez recepty. W takim przypadku nie słyszałam o odpowiedzialności zawodowej inna niż moralna. Raczej nikt nie wyciąga konsekwencji.

Czy zdarzały Ci się sytuacje, w których ktoś przychodził z receptą, a Twoim zdaniem nie powinien otrzymać danego leku ze względu np. na wiek, albo inne czynniki? Tzn. czy zdarzało Ci się nie zgadzać de facto z opinią lekarza, który przepisał komuś coś niekoniecznie dla tej osoby wskazanego? Czy masz w takim wypadku prawo odmówić wydania leku?

Ja akurat często bywałam w takich sytuacjach. Nie wiem czy faktycznie miałam rację, ale uważałam, że pacjent nie powinien mieć leku zapisanego. Odpowiedz brzmi – nie – nigdy nie odmówiłam wydania. To były np. sytuacje, kiedy wiedziałam, że pacjent nadużywa leków nasennych i uspokajających, a to są bardzo silne, uzależniające środki często nadużywane przez lekarzy internistów. Ja wiedziałam, że pacjent już kupił opakowanie tydzień temu i dwa tygodnie temu i wiem, że lekarz mu to wypisuje. Nie odmawiałam, to nic by nie dało. Lekarze się „wnerwiają” jak ich się poucza, a pacjent jest uzależniony i chce swoje opakowanie, wszystko jedno czy z tej czy z innej apteki.

Wszyscy się śmieją; kto bazgrze jak kura pazurem, ten mógłby zostać lekarzem. Czy rzeczywiście dużo trudności przynosi odczytywanie wypisanych na receptach leków? Może powinniście mieć na studiach zajęcia z kryptografii?

Faktycznie bazgrzą. My się uczymy odczytywać nazwy leków. Kiedyś spróbowałam jednak rozszyfrować kartę pacjenta i mogłam odczytać tylko ...jakie brał leki. Reszty już nie umiałam. Szczęśliwie coraz więcej lekarzy używa drukarek do recept.

Obecnie mnóstwo jest na rynku dostępnych bez recepty i szeroko reklamowanych tzw. suplementów diety. Czy to prawda, że specyfik sklasyfikowany właśnie jako suplement nie jest w rzeczywistości weryfikowany, jeśli chodzi o jego skład? Czy może to oznaczać, że nie ma w nim tych witamin, które są opisane na pudełku? Czy wobec tego warto jest w ogóle stosować suplementy diety? A może niektóre z nich są niebezpieczne i trzeba na nie uważać?

Z suplementami jest tak, że nie wiadomo. Są firmy, które mają doskonałe suplementy, przebadane jak leki i jakość tych produktów jest bardzo wysoka. Są też firmy, które nie przykładają się zaniech do jakości produktów, a są i takie, które sprzedają cukier w tabletkach pomalowany na kolorowo. Nie chcę powiedzieć, że nie warto stosować suplementów. Trzeba być świadomym co się bierze.

Czy możesz powiedzieć, że czujesz satysfakcję z wykonywanej pracy? Czy daje to poczucie spełnienia, że pomagasz ludziom, że troszczysz się w pewien sposób o ich zdrowie? Czy traktujesz to podobnie jak pracę w sklepie i zwykłe wydawanie produktów?

Ja mam satysfakcję z wykonywanej pracy, ale nie dlatego, że pomagam ludziom i troszczę się o ich zdrowie. To jest mój zawód wyuczony, za to mi płacą i chcę to wykonywać dobrze. Dla mnie dobrze oznacza to właśnie, że troszczę się o zdrowie pacjenta i mu pomagam, ale to jest wtórny efekt. Moim zdaniem nie można na dłuższą metę wykonywać żmudnej pracy w imię pomagania ludziom (no, może jakaś zakonnica albo pani Ochojska), to nie jest profesjonalne. Ja mam satysfakcję, gdy podchodzi do mojego okienka więcej osób, bo lubią ze mną rozmawiać, ale płacą pośrednio za tę wiedzę i usługę, i to jest fajne, i to jest fair. To jest satysfakcjonujące.

Dziękuję za rozmowę.







KALEJDOSKOP

| Paweł Radzko |

„Niesamowite!”

– moja pierwsza myśl, gdy dowiedziałem się skąd takie słowo jak KALEJDOSKOP pochodzi. Czy ktoś mógłby się domyślić, że oznacza to zbitek słów „piękny”, „kształt” i „patrzeć”?! Pewnie tak, jeżeli studiuje starożytną grekę albo pisał artykuł do tego numeru wcześniej ode mnie i sprawdził to w słowniku. Ja jednak dogłębnie poruszony postanowiłem zbadać tę sprawę. Po co ktokolwiek i kiedykolwiek miałby wymyślać tubkę z kolorowym szkiełkiem czy lusterkiem, przez które i tak nic nie widać (więc rzeczywiście jest diablo praktyczna!) oprócz jakichś kolorowych kształtów, plam i innych nasuwających halucynogenne skojarzenia deliriów?

Pierwsza odpowiedź: dla szczytnej idei nauki i postępu ludzkości! Upadła.

Druga: oczywiście, jak zwykle bez sensu, jako zabawka. Czemu nie, jeśli da się na tym zbić fortunę?

Nie dało się.

Tak więc mamy kolejną, bezużyteczną rzecz, która wcale istnienia nie ułatwia skoro rodzi tyle niesamowicie intrygujących i do niczego nieprowadzących pytań. Przypomina mi to filozofię. Banda greckich arystokratów zaczęła zadawać sobie egzystencjalne pytania z braku lepszej roboty. Oczywiście, szybko pochwycone przez Rzymian stało się to modą w całej Europie. I tak od grubo ponad dwóch tysięcy i pięciuset lat wielcy

uczni zastanawiają się: czym jest świat; jak powstał; jak żyć; jak poznać świat; co było pierwsze – jajko czy kura; i wiele innych równie palących problemów. Ba, wyznacza to czy ktoś jest mądry czy nie. Pomijając już te wszystkie problemy, na które odpowiadają dziś fizyka, biologia, matematyka, chemia i inne, zdecydowanie bardziej praktyczne metody, zostaje chyba problem moralności, z którym przecież żadna inna dziedzina by sobie nie poradziła. No cóż, jeśli ktoś ma wystarczająco oleju w głowie będzie się uczył na własnych błędach, a resztę wyciągnie z historii. Mimo wszystko wychodzi jednak na to, że ludzie lubią, bądź potrzebują dyskutować o tym czy sądy są analityczne a priori, czy syntetyczne a posteriori albo czy bycie jest związane z czasem. Co więcej, przymuszają innych ludzi, by prawie na każdym kierunku studiów uczyli się filozofii przynajmniej jeden semestr. Urocze!

Podsumowując, uważam (ja i wielu materialistycznych naukowców), że żyjemy w czasach, w których filozofia powoli przestaje być potrzebna, a jej rolę przejęły inne dziedziny. Niech ta pseudonauka zejdzie na poziom potoczny, gdzie uprawiać ją będą mogli wszyscy we własnym zakresie, niech stanie się prawdziwą filozofią życia, niech skończy z prześladowaniem kognitywistyki i niech jej się wiedzie.

PR



BARWY ŚWIATA MINERAŁÓW

Robert Borzęcki

Swiat minerałów cechuje różnorodność form, kształtów i barw. Te ostatnie niewątpliwie najbardziej cieszą oko i sprawiają, że wciąż powiększa się grono kolekcjonerów. Barwa minerałów jest wynikiem selektywnej absorpcji światła. Stanowi ona cechę bardzo charakterystyczną, lecz w diagnostyce nie zawsze wiarygodną. W wielu przypadkach okazy tego samego minerału mogą mieć różne odcienie tej samej barwy lub wręcz różne barwy. Dobrym przykładem jest tu fluoryt, który może być bezbarwny, biały oraz w różnych odcieniach szary, żółty, niebieski, zielony, fioletowy lub niemal czarny. Istnieje również wiele minerałów, które z natury są bezbarwne, ale z powodu zawartości różnego rodzaju domieszek przyjmują różnorakie zabarwienie. Tutaj za przykład mogą posłużyć barwne odmiany kwarcu. W zależności od zabarwienia noszą one liczne nazwy zwyczajowe np. kryształ górski (bezbarwny), cytryn (żółty), ametyst (fioletowy), morion (czarny), czy chalcedony (zielony chryzopraz, czerwony karneol). Wiele minerałów ma jednak stałą, charakterystyczną dla siebie barwę, która często znajduje odzwierciedlenie w ich nazwie np. azuryt (perskie: *lazhward* – niebieski), chloryty (z greki: *khloros* – zielony) czy albit (łacińskie: *albus* – biały). Wiele minerałów wykazuje zjawisko pleochroizmu tzn. różnobarwności. W kryształach pleochroicznych w zależności od kierunku obserwacji widzimy dwie (dichroizm) lub trzy (trichroizm) różne barwy. Dobrym przykładem jest tu kordieryt. Jego kryształy w zależności od kierunku patrzenia mogą być niebieskie,

fioletowe lub żółte. Szczególny rodzaj pleochroizmu wykazuje aleksandryt (odmiana chryzoberylu). Jego barwa zmienia się jak w kalejdoskopie w zależności od rodzaju oświetlenia. W świetle dziennym jest żółtawozielony do zielonego, a przy sztucznym oświetleniu staje się czerwony do różowo-fioletowego.

Niestety, wiele minerałów, w celu podniesienia ich atrakcyjności jest obecnie sztucznie barwiona. Dotyczy to szczególnie najbardziej popularnych agatów brazylijskich. Większość z nich ma w naturze mało atrakcyjne białe-szare zabarwienie. Oczywiście jest, że takie kamienie raczej słabo by się sprzedawały. Agat jednak jest bardzo porowaty i daje się łatwo barwić na dowolny kolor. Szczerze mówiąc, agaty pochodzące z Brazylii są zwykle tak ładnie barwne jak głęboko sięga farba. Jak zatem odróżnić kamienie naturalne od sztucznie barwionych. Ja kieruję się jedną zasadą. Jeżeli wstęgi w agacie mają tylko odcienie jednej barwy, to raczej na pewno ktoś mu tę barwę poprawił. Jeżeli jednak mają przynajmniej dwie, a najlepiej kilka różnych barw, to kamień na pewno jest naturalny, ponieważ nie da się go zabarwić selektywnie. Na pewno nie barwione (ale niestety dużo droższe) są agaty z Maroka, ponieważ Marokańczycy jeszcze nie opanowali techniki ich barwienia. Na pewno nie barwione są również agaty polskie, gdyż ich naturalne barwy sprawiają, że kamień jest wystarczająco atrakcyjny. Niestety, ze swoich obserwacji wiem, że klienci najczęściej wybierają jednak tańsze okazy brazylijskie. Parafrazując zatem starą zasadę można powiedzieć: „Cudze chwalicie, swego nie doceniacie...”

RB

Jak rozdzielić kolory?

Aleksander Bogucki

Nadchodzi czas sylwestrowych zabaw, a co za tym idzie wielu imprez masowych, które zapewniają nam feerię dźwięków i kolorów. Zmieniające się na koncertach różne barwy łatwo uzyskać łącząc ze sobą kolory podstawowe. Używając światła czerwonego, zielonego i niebieskiego w różnych natężeniach można uzyskać niemalże dowolną barwę, a mieszając wszystkie kolory, otrzyma się światło białe. Jednakże można zadać sobie pytanie czy da się jakoś odwrócić zagadnienie i sprawdzić, z jakich kolorów składa się dowolne obserwowane światło?

Okazuje się, że to pytanie ma bardzo długą historię, a odpowiedź na nie pozwala na badanie bardzo wielu problemów. Dlaczego informacja o składowych światła jest wyjątkowo przydatna? Otóż szeroka gama obiektów świeci: Słońce, gwiazdy, świece, żarówki, świetlówki, diody półprzewodnikowe, lasery, ale także obiekty bardziej biologiczne: świetliki, niektóre skorupiaki, ryby, owady, grzyby, jamochłony, mięczaki, bakterie, gąbki, a nawet płazy.

Dodatkowo znamy wiele obiektów, które odbijają światło lub świecą, jeśli wcześniej były wystawione na silne źródło światła. Analiza widma promieniowania elektromagnetycznego (czyli po prostu składu kolorów obserwowanego światła) pozwala na badanie świecących obiektów i wnioskowanie o procesach w nich zachodzących. Cała gałąź nauki nazywana spektroskopią jest poświęcona analizowaniu charakterystycznych widm różnych obiektów i substancji.

Aby rozdzielić światło, tak by uzyskać jego widmo, lub inaczej mówiąc spektrum, potrzeba nam elementu, który różnie zachowuje się dla różnych długości fali (czyli dla różnych kolorów). Szukając w umyśle naturalnych zjawisk związanych ze światłem i z kolorami, na myśl przychodzi zjawisko tęczy oraz barwne refleksy świetlne na kryształowej karafce babci. I jak najbardziej słusznie! Obydwa te zjawiska są przejawem takiego samego zachowania: białe światło słoneczne, przechodząc przez ośrodek gęstszy optycznie od powietrza, w którym normalnie się rozchodzi, w odpowiednich

warunkach rozszczepia się i ukazuje pełen wachlarz barw składowych. W tym wypadku ośrodkami gęstszymi optycznie były szkło oraz woda.

Jednakże jest jeszcze inna możliwość rozdzielania światła. Można rozdzielić światło na bardzo niewielkich strukturach dzięki zjawiskom analogicznym do wzajemnego oddziaływania fal na wodzie. Zjawisko to nazywamy interferencją i dzięki niemu widzimy barwne wzory w kałuży, na której pływa warstewka benzyny, lub mieniające się kolory na powierzchni bańki mydlanej.

A czy można zapatrzeć się w urządzenie do rozdzielania kolorów, nie wydając zawrotnej sumy pieniędzy? Oczywiście!:) Możemy zbudować swój własny spektroskop (czyli właśnie urządzenie pozwalające uzyskiwać spektrum światła) bardzo niskim kosztem: wystarczy nam do tego płyta CD lub DVD (a najlepiej obie, aby mieć dwa razy tyle zabawy). Dlaczego płyta CD lub DVD? Płyty te posiadają bardzo wiele mikro-rowków rozmieszczonych spiralnie wokół środka płyty. Bardzo niewielkie wymiary rowków powodują, iż długości światła zaczynają być

porównywalne z rozmiarami rowków i tym samym spełnione są warunki występowania zjawisk interferencyjnych. Na płycie DVD można zapisać znacznie więcej informacji niż na płycie CD, co przekłada się na większą ilość rowków na płycie. Dzięki temu rowki na DVD muszą być mniejsze niż na płycie CD, a stąd światło dużo mocniej interferuje na płycie DVD niż na płycie CD.

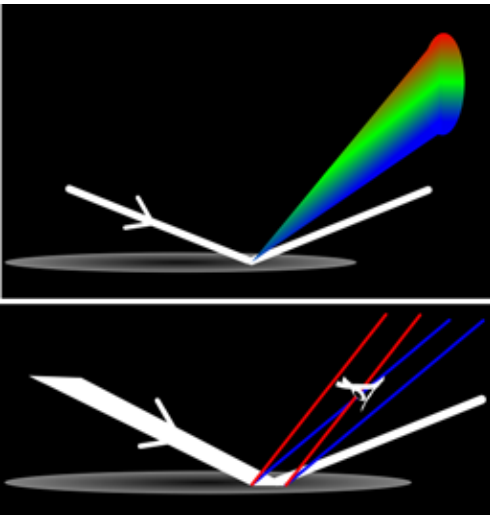
Weźmy latarkę (żarówkową, a nie z diodami) i poświećmy na płytę pod niewielkim kątem do płyty (Rysunek 1.). Jeśli zgasimy światło, to na ścianie przed nami powinniśmy zobaczyć wachlarz kolorów: nisko na ścianie niebieski, coraz wyżej płynnie przechodzący w zielony, żółty, pomarańczowy, a na końcu czerwony. Jeśli mieliśmy latarkę, która miała bardzo małą plamkę światła, to efekt był wyraźniejszy, jeśli zaś dużą, to mogło się zdarzyć, iż widzieliśmy po prostu kolorowe plamy. Weźmy teraz nasz spektroskop i udajmy się gdzieś, gdzie występują żarówki energooszczędne. Ustawmy płytę równoległą do ziemi i znajdziemy odbicie świetlówki. Następnie zmieńmy kąt patrzenia, tak aby obserwować płytę nieco z góry.



Rysunek 1.



Rysunek 2.



I tym razem bliżej wewnątrz płyty powinniśmy ujrzeć niebieski pasek, potem małą przerwę, pasek turkusowy, przerwę, pasek zielony, przerwę, pasek żółty, i tak z przerwami, aż do czerwonego. Kolejność kolorów wydaje się odwrotna? Tylko z pozoru! Na Rysunku 2. na górze pokazane jest co powinniśmy zobaczyć, gdy obserwujemy świetlówkę. W dolnej części Rysunku 2 wyjaśniony jest sposób powstawania kolorów na ścianie, a także droga światła docierającego do oka. Na końcu znów wejdźmy do ciemnego pomieszczenia (im ciemniejsze tym lepiej) zaopatrzeni w listwę do prądu, która posiada świecącą neonówkę (najczęściej jest to czerwona lampka w przełączniku włączającym listwę). Włączmy listwę, tak by neonówka świeciła i znów spójrzmy na nią, tak jak to robiliśmy, patrząc na świetlówkę. Tym razem powinniśmy zobaczyć tylko czerwone światło, lecz złożone z szeregu czerwonych i pomarańczowych linii pooddzielanych przerwami. Jak wytłumaczyć zaobserwowane przez nas widma?

Latarka z żarówką oraz słońce emitują światło we wszystkich kolorach naraz, stąd widmo żarówki jest płynne, i prawie bez przerw (na naszym spektrometrze z płyty przerw w widnie słonecznym raczej nie zobaczymy, gdyż jest to bardzo proste urządzenie). Świetlówki zawierają rtęć, która pobudzana jest do świecenia wyładowaniami elektrycznymi i świeci tylko w kilku długościach fali. Oczywiście producenci świetlówek bardzo starają się uzyskać widmo światła jak najbardziej podobne do naturalnego widma światła słonecznego, stąd, jeśli do doświadczenia będzie użyta bardzo dobra świetlówka, to efekt może być mniej widoczny. Na końcu obserwowaliśmy światło neonówki (jak sama nazwa wskazuje wypełnionej gazowym neonem). Neon, tak

jak rtęć w świetlówce, pobudzany jest do świecenia wyładowaniami elektrycznymi. Neon ma zupełnie inne linie widmowe niż rtęć, gdyż każdy pierwiastek ma swoje charakterystyczne linie widmowe i dlatego spektroskopia jest świetnym narzędziem do identyfikacji różnych pierwiastków i układów fizycznych.

Życzę udanych eksperymentów w rozdzielaniu światła i analizowaniu otrzymanych widm, a także zachęcam do patrzenia na inne źródła światła. **AB**



Rysunek 3. Widoczne spektrum neonówki. Jakość zdjęcia jest nie najlepsza, gdyż neonówka bardzo słabo świeci, co znacząco utrudnia wykonanie fotografii. W prawej części zdjęcia widać spektrum neonu uzyskane przy pomocy profesjonalnego spektrometru.



KOLOROWE SZKIEŁKA

ADAM SIEMIENIŃCZYK

Znana z dzieciństwa zabawka. Cylindryczny przedmiot, który wygląda jak luneta. Kiedy jednak się weń spojrzy, widać coś zupełnie innego. Kolorowe obrazy. Zawsze inne. Wystarczy potrząsnąć lub pokręcić i mamy znów inny świat do obejrzenia. Kilka różnokolorowych szkiełek wewnątrz. Kalejdoskop.

Szkiełko żółte.

„...Ogień się w gronach płomieni...”

Przełom maja i czerwca. Słoneczna pogoda. Udaję się do poetki. Czy uda się przez to lepiej zrozumieć jej twórczość?

Szkiełko czerwone:

„...Księżyc w kropli wina...”

– Jeśli poezja ma przemówić, nie potrzebuje tłumaczenia. Ona płynie z serca do serca – tak powiedziała Lubita przed wystąpieniem na Devonii w Londynie. I rzeczywiście, jej recytacja wywołała poruszenie.

Szkiełko granatowe

„...które z podniebios księżyc rozlewa aż do pełni...”

Jadąc z rewizytą do poetki nie byłem świadom, że trzeba dobrze sprawdzić trasę. Wyjeżdżałem z Warny

i nieopatrznie kupiłem bilet do Konstancji. Po dojechaniu okazało się, że miasto do którego jadę (Rešica) odległe jest o ponad 700 kilometrów. Brak bezpośredniego połączenia. Noc spędzona na dworcu w Bukareszcie. Gdy granat zmieniał się w niebieskość poranka wsiadłem do kolejnego pociągu. Potem już tylko jedna przesiadka i już miałem dotrzeć do celu. Siedzący obok pasażer nie potrafił rozmawiać w żadnym ze znanych mi języków. Gdy jednak usłyszał słowo poezja – natychmiast postanowił otoczyć mnie opieką. Doprowadził mnie do odpowiedniego pociągu, wyszukał w nim osobę mówiącą po francusku.

– Do kogo jedziesz? – spytał rozmówca.

– Liubita Raichici – odpowiedziałem.

– A znam, znam. Dobra poetka. Kiedyś pomogła mi w załatwieniu stypendium do Paryża. Pasażerowie wiedzący, że jadę do Liubity traktowali mnie w sposób wyjątkowy. Miałem wrażenie, że jadę do kogoś specjalnego. Po dotarciu na miejsce, zostałem odprowadzony aż do hotelowych drzwi.

Szkiełko zielone:

„... radości – moja uroda...”

Wiele potem się działo. Spotkania, rozmowy, recytacje.

Czy zrozumiałem coś więcej z wierszy Liubity? Literalnie niekoniecznie.

Ważny jednak był klimat spotkań. Historyczne miejsca. Zanurzyć się w danej kulturze. Być tam. Walec świata próbuje wszystko zunifikować. Poprzez zapomnienie poddawana jest w dyskusję wartość tego co było. Rozmowa bez reprezentacji drugiej strony. A to co było jest. Jest. Poprzez poezję przenosi się dalej. Zarówno pośród ludzi, jak też czasu. Tożsamość nie została zachwiana. Było, jest, będzie. Wrażliwość wymaga siły, by ją ochronić. Potrząsając szkiełkami *„...Dusza się we mnie kolebie...”*

Obrazy wirują. Zmieniają się jak w kalejdoskopie. Słowa w napisanych wierszach pozostają niezmiennie. Powstają kolejne wiersze. Pisanie to kreacja czegoś nowego. Przeszłość jest tu jednak widoczna. Każdy obraz, choć nowy, ma w sobie coś z poprzedniego. Zmiana jest kontynuacją.

Więc *„...zdrowie wznoszę za ciebie-siebie, do dna – w twych snach...”*

Czasem można wybrać się w podróż i się spotkać. Czasem można to zrobić tylko we snach.

AS

INGEBORGA KINK-KRZYŻANOWSKA

MIĘDZY JEDNYM A DRUGIM ZDANIEM
STAWIASZ KROPKĘ, MYŚLNIK LUB ŚREDNIK
A MOŻE INNY ZNAK,
LECZ GDY SIĘ ZASTANAWIASZ
STAWIASZ ZNAK ZAPYTANIA,
GDY MASZ DOŚĆ WYKRZYKNIK.
NIKT NIE WYMYŚLIŁ ZNAKU OCZEKIWANIA.

2010

INGEBORGA KINK-KRZYŻANOWSKA
UKOŃCZYŁA WARSZAWSKĄ PWST, MALARKA I POETKA. MALUJE
NAJCHĘTNIEJ PEJZAŻE I Z WYOBRAŹNI. W 2006 R. WYSZEDŁ JEJ
PIERWSZY TOMIK POEZJI "POWIEŚĆ W FUTRZE", ILUSTROWANY
JEJ OBRAZAMI.



ГЕРМАНОВИЧ

(к столетию со дня рождения)

Кременец, этот необыкновенно живописный городок на юге Волыни, известен своей богатой историей, культурными и образовательными традициями, многочисленными памятниками старины. Один из пиков его расцвета приходится на 20-30 годы прошлого столетия, когда после Рижского договора Волынь находилась в составе Польши. Тогда-то Кременец из провинциального городка превратился в культурный центр целого региона, в основном, благодаря особенной интеллектуальной атмосфере Кременецкого лицея. Это, известное на всю Польшу элитное учебное заведение, вошедшее в историю образования как «Волынские Афины» задавало тон всему городу. Кременец стал необыкновенно популярным среди художников и фотографов. Полуистершийся из памяти старинный образ любимого города удалось донести до наших дней именно благодаря искусству фотографии. Тут Кременцу особенно повезло. Его красоты страстно запечатлевали объективы таких известных мастеров как Станислав Шейбал, Людвик Гроновский и Генрик Германович. Особое место в создании иконографии нашего города занимает фигура всемирно известного фотохудожника Генрика Германовича. Ученик «отца польской фотографии» профессора Яна Булгака, он прибыл из Вильна (Вильнюса) в качестве инструктора фотоателье при Кременецком лицее. Кроме творческих работ, в ателье печатались также фотооткрытки и личные фотографии, которые в последствии разошлись по всему свету. Возможно, поэтому имя Генрика Германовича особенно известно и дорого кременчанам. Молодой художник поддался магии этого маленького городка, затерявшегося среди гор и лесов. Кременец стал его первой любовью – романтической и неповторимой. Хотя Германович к тому времени уже достиг определенных успехов (I премия *Wiadomości Artystycznych* (Познань), публикации в Париже и одобрительные отзывы в парижской прессе), именно в Кременце он сформировался как самостоятельный фотохудожник и педагог, увлеченно передавая свои знания молодежи, учил познавать и фиксировать красоту окружающего мира. Тут он познакомился со своей будущей женой Эмилией Корнашевской. Ее портрет «Женщина с закрытыми глазами» в 1937 г. был удостоен серебряной медали на I Польской выставке отечественной фотографии. Наиболее плодотворными были 1937-1939 годы. Германович страстно запечатлевал пейзажи, архитектуру, лица, как-бы предчувствуя, что вскоре все это уйдет в небытие. Часто он с бродил с фотоаппаратом по окрестностям Кременца и живописным уголкам Волыни, благодаря чему удалось «спасти от забвения» уникальную деревянную архитектуру Кременца, живописные развалины замка в Бучаче, колоритные народные убранства. В 1939 году, в рамках подготовки к 130 –ой годовщине великого польского поэта-романтика Юлиуша Словацкого, родившегося в Кременце, Генрик Германович за собственные деньги выдал альбом, посвященный поэту, где чудные фотографические пейзажи гармонически дополняли фрагменты стихов и писем Словацкого, выбранные Эмилией Корнашевской. Листая

пожелтевшие страницы этого библиофильского раритета, ближе и понятнее становится внутренний мир Словацкого: таинственная гора Королевы Боны, гордо несущая над городом свое, увенчанное короной замка, чело, белоснежные башни Лицея, крутые улочки старого города, густо застроенные деревянными домиками со множеством столбиков, колонн, крылечек, лесенок, переходов – настоящие картинки 19 века. В то же время Германович совместно со Станиславом Шейбалом готовит очередной альбом о Кременце «Город великой тоски». В то время увлечение рисованием приобрело в Кременце почти массовый характер. Многие начинающие художники обращались к пану Генрику за советом. Очень тактично он всегда умел поддержать, подсказать, посоветовать, а иногда совсем уж безнадёжного «художника» мог излечить от «малярии» (от слова маляр), искренне посоветовав ему заняться каким-нибудь менее творческим, но более полезным для него и общества делом. Во времена войны в 1939-1943 гг. Германович продолжал работу в фотоателье «Искусство». Он фиксировал, м. пр. геологические исследования, которые велись сотрудниками музея Земли Кременецкой, работал фотоинструктором. Фашисты имели обыкновение документировать свои злодеяния, а негативы приносили для проявки в фотоателье. Германович, понимая, какую ценность будут иметь эти фотодокументы, тайно, рискуя жизнью, делал их копии. Так зафиксированы были расстрелы местной интеллигенции, истребление евреев, пожар гетто. В 1943 году, когда пребывание поляков на территории Волыни стало крайне опасным, семья Германовичей вынуждена была покинуть Кременец. Перед отъездом он спрятал фотографии и негативы под полом своей мастерской и на колокольне Николаевского собора. К сожалению, лишь немногие из них сохранились в личном архиве фотохудожника. Часть очутилась в руках случайных коллекционеров и скупщиков старины, остальные – бесследно исчезли. После долгих скитаний Германовичи поселились в Кракове. Но Кременец – это город, с которым художник никогда не порывал связи. Сюда он возвращался мысленно, а когда это стало возможно, то и лично. Это и не удивительно. Ведь с Кременцем его связывали и творческие успехи и личные переживания: здесь он провел самые счастливые годы юности, сформировался как творческая личность, здесь женился, а на кременецком католическом кладбище – могилки двоих его детей-близнецов. В сущности, он как бы и не покидал Кременца никогда. Ведь здесь осталось много его высокохудожественных работ, которые сформировали эстетические вкусы не одного кременчанина, угнетенного окружающей серой соцреалистической действительностью. Мне посчастливилось лично познакомиться с этим удивительным человеком, так как еще до войны он был дружен с родственниками моего отца: мой дядя, совсем еще молодой художник Игорь Гаськевич, был некогда ретушером в фотоателье у Германовича. Немного мог запомнить шестилетний ребенок из короткой встречи, но авторские фотографии Германовича, украшавшие стены нашего скромного жилища, открыли для меня мир гармонии, дали незабываемые эстетические переживания.

Работы тех лет характеризуются изысканной композицией, насыщены приглушенным светом, в них – непростая простота и строгая ясность, благородство и совершенная гармония. «Германович – или простота» - сказано о нем в варшавской прессе. Простота - в смысле совершенство. Фотографии Германовича подчас красивее, чем отображаемая в них действительность, но автор вовсе не приукрашивает их, просто ему всегда удавалось ухватить фрагмент, который наиболее емко передает целое. Вот – Лицейский костел на рассвете. Новый день рождается на крестах святыни. Туманный, несмелый свет раннего утра концентрируется на башнях, постепенно побеждает ночной мрак, притаившийся еще внизу, таинственно прикрывающий фрагмент балюстрады. Минута, исполненная тишины, трепета и удивительного спокойствия. А вот – фотопортрет моей бабушки, сделанный, когда ее сын был в немецком плену. Женщина в темном плаще, сидящая на лавке на фоне неоштукатуренной стены, рядом пустой подвойник. Вся фигура исполнена внутреннего благородства в своей сдержанности и затаенной боли.

После войны Генрик Германович жил в Кракове. Изменилась окружающая действительность, эволюционировал и стиль фотохудожника. Его послевоенные работы стали более динамичными, экспрессивными, синтетичными, хотя и не без налета романтизма. Слова о том, что Генрик Германович был фотохудожником мирового уровня – вовсе не преувеличение. Ведь в Энциклопедии мировой фотографии, изданной в Швейцарии к столетию фотографии, его творчеству отведено значительное место. За свою долгую творческую жизнь он был участником 60 общепольских и 40 зарубежных выставок, стал автором 25 художественных фотоальбомов. Германович стал сооснователем Союза фотохудожников Польши, почетным членом Клуба датских фотографов, сотрудничал с ведущими польскими журналами, работал на киностудии образовательных фильмов. Признанием его деятельности стали многочисленные государственные награды. Генрик Германович умер в Кракове 31 мая 1992 года. В этом году ему исполнилось бы сто лет.

Елена Гаськевич
научный сотрудник музея
Юлиуша Словацкого в Кременце

Luminous Friend

When I was a preschooler, my world of numbers ended on my tenth finger. I couldn't do the statistics on my friends. And there were as many of them, as bits of glass in a kaleidoscope. A situation in the backyard had often led to short lasting wars, but the friendly kaleidoscope helped me not to feel any despair. In my elementary school my knowledge level was already so broad that I was able to count my friends. I didn't do this just because of my laziness, just simply because the kaleidoscope continued to work in my life, so I carried on. And this is how 33 years of my life have passed by. During one of the August nights, while sitting with my friends in the pub, I got punched by one of them in my face. There was a lot of beer flowing in my veins but it wasn't anything unusual. Having so many friends, the pub had become my second home. I don't know if the blow directed at my jaw caused the physical pain, or rather the mental one. I don't remember if I packed a punch back onto the other side, or if my beer soaked-body just pulled itself back together and got out into the fresh air. Outside, I performed a street dance that ended with a fall on the cobble stone street near the church. A vibrational, nightmarish overload of sounds caused me to open my eyes. It was the clock on the church tower announcing the beginning of a day with a music box like melody. When it died down, there was a wonderful silence. It was so blissful that I decided to cuddle up to the curb of a pavement just for one more moment. I didn't do this though. A luminous ball in the blue sky was looking at me in

such a cheekily manner that I decided to shout:

What are you looking at?

And instead of lowering her eyes, she extended her, hidden before, arms and started poking me with them. I was covering myself up with my hands but it didn't help. At last, she took her arms back and I noticed dry blood, ragged clothes, and shoes plastered with something filthy. I wasn't alone any longer. There was a morning bird sitting on the branch of a tree. I became sad and I started crying. Then, the ball looked at me again, but it seemed like it was more sympathetic. She hugged me and helped me stand up. We walked a few blocks until we came to the main street where the trams were taking on the first passengers. I felt thirsty in such a burdensome way that I was happy to see an open store. I looked at the ball since I wanted her to wait for me. Buying beer will not take long. Then she spoke:

Don't do this.

Don't do what? - I asked.

You are balancing over a precipice, and you have not much ballast left.

One beer. I want one beer. Do you get it?

I think that I was moving my hands because one of the men caught my tails and pushed me out of the store. The ball disappeared. I was mad and I wanted to pee. I was about to open my zipper, right behind the corner, when I noticed that I had only two steps to

go home. They treated me like some drunk, a beggar. I didn't know at the time that my wallet was in some other hands for some time already. There was a woman coming out of the gate. I wasn't sure if she was from my block of flats, so just to be nice I said good morning. The woman gave me a wide berth without saying a word. The ball appeared again and repeated over and over:

You have no ballast.

I couldn't take it.
I yelled.

Back off!

Shutting the door, I entered the staircase.

An elevator didn't work. It was hard, but I got to my door and I found the key. Luckily the faucet worked and after I turned it on, the water dripped. I was drinking and washing my face at the same time. The ball showed up in the narrow kitchen window. I closed the curtain just to open it after a moment, I opened the window. I heard...

Hey! Good morning! I do not know if you remembered but you have a bathroom. Don't look into the mirror when you are walking down the hallway.

What right does she have to say what I am supposed to be doing. I went to the bathroom and I stopped in front of the mirror. I looked once, twice, three times. I took the linen jacket, then my shirt off. It was a bit better. I got rid of my pants where absence of my wallet was now noticeable. Tomek was standing in front of

the mirror, just like God created him. Only the slippers reminded me of my connection to the material world. I realized that my kaleidoscope was long gone and I was guided by childish rules. It has been ten years telling the same stories while drinking beer; I listened to the same stories and changed my drinking friends. I was getting cold so I went to the bathroom and took a hot shower. The entire bathroom was steamed up. Covered up with a towel I opened the bathroom's window vent so the excess of moisture would find its way out, and there was this smiley ball waving her arms. She was silent. Me too. I turned towards the mirror and started shaving. Putting the foam on my face, I tried to count my friends. There were no barriers. I can count. Not knowing why, I turned towards the ball and asked her:

What does it mean, a friend?

The ball was silent. I answered myself.

It is someone who can say that you behave like a fool and someone who worries about your life. I have no friends. Besides you- I added looking at the Sun.

And then, the Sun reached out to me as if it wanted to let me know that I first must become a friend with myself. I lifted my hands up, I took a deep breath and I invited her for a walk and a coffee. Since October, the luminous friend has visited me less and less. This year hasn't been easy, but it has been worth it. I've found a true friend in myself.

Gabi Elliott
Tłumaczenie: Agnieszka Thomassen

